Rok założenia 1933 (XXXII) • Lublin 16—31.X.1965 Nr 19 (329) • cena 2 zł

Kamena

BIAŁYSTOK
KIELCE
LUBLIN
RZESZÓW

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO—KULTURALNY

W numerze m. in.

- Wiersze Sergiusza Jesienina
- Tajne nauczanie
- Poprawka do historii Radomia
- „Ziemia i pieśń"
- W mieście Owidiusza
- Świat w 1939 roku — zestaw ciekawych zdjęć

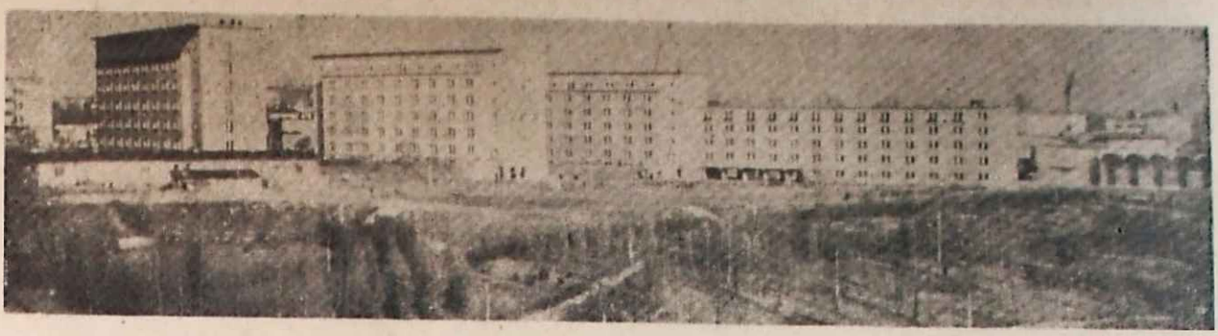

Fot. A. Polakowski

LUBLIN MIASTO WYŻSZYCH UCZELNI

STUDENT ANNO 1965

Ustawiczne roztrząsanie problemu — „student a sprawa polska" stało się niemal narodową pasją (intelektualną). Sęk w tym, że najczęściej posługujemy się zbyt uproszczonymi schematami. W ten sposób przeciętny polski student jawi się społeczeństwu albo jako niefrasobliwy choć biedę klepący żaczek, albo gorący rewolucjonista o światłym umyśle, lub... całkowity abnegat społeczny i w dodatku... pasożyt.

A co mają na ten temat do powiedzenia rektorzy wyższych uczelni lubelskich? Zwróciliśmy się do nich z prośbą o wyrażenie swojej opinii na temat młodzieży studiującej w trzecim dziesięcioleciu Polski Ludowej.

Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej
Prorektor do spraw młodzieży
Doc. dr Wiesław Skrzydło

— Dzisiejszemu studentowi stawia opinia publiczna dwa zarzuty. pierwszy: że przyjął on w społeczeństwie postawę konsumenta, dąży do zapewnienia sobie możliwie jak największych wygód podczas studiów (a tego np. dawniej nie bywało), wymaga stypendiów, taniego zakwaterowania, bonów stołówkowych itd. Żąda wiele, w zamian zgadza się łaskawie studiować. Drugi zarzut: minimalizm życiowy: jak najmniej się uczyć, jak najmniej się angażować społecznie, boczkiem, pod ścianą prześliznąć się przez studia.

Obydwa zarzuty to schemat. Uproszczony i nieprawdziwy. Powstały na skutek zetknięcia się z

(Ciąg dalszy na str. 3)

TADEUSZ SOKOŁ

Wiecznie nieznanej

Gdyby tak morze otoczyć
twoich włosów łańcuchem
ze złotej bibułki i słomy
stałbym się małym pajacykiem
wiszącym na ścianie świata.

Złota bibułka za kilkanaście [groszy
przetkana żytem
warkoczem jest łańcuchem
z choinki małych dzieci
a ja pajacyk ze skorupki
jaja i czerwonego papieru
utonąłem w złocie twoich [włosów

Jesteś tak pełna słońca
znad Bałtyku
że rozszumiałem się
jak barokowa koncha muszli
na której spoczął promień

Białystok

KRYSTYNA WIŚNIEWSKA

Szczęście

Co się stanie poza nami
i najbliżej nas
na bezludnym świecie szczęścia
tam
gdzie nikt nie otwierał róży
Jakim cieniem opadną nasze imiona
w głąb rozpostartych ramion
i suchy szelest palców
czy na zawsze urodzi w nas tkliwość
pełną snów

Jeszcze nie zawierzamy
mgle obudzonym nocom
Nie wiemy
jaki ogień przejdzie po naszych twarzach
głodnymi płomykami
Nie wiemy o sobie nic

Na bezludny świat
kładziemy skruszone szczęściem ręce
są ciche równiny słońca
jest łagodność białych jak sen kwiatów
obejmujemy się twarzami pełnymi tęsknoty
Poza nami
wiatr rozczesuje chłodne liście
poza nami
ptaki dźwigają deszcze smutku

Nie czujemy ciężaru jesiennego nieba
obejmujemy się z daleka
najbliżej nas
zasypiają późne gwiazdy

Co się stanie tam
gdzie rozstajne drogi odwołują swój początek
pod kamiennym progiem domu
Przecież
myśleliśmy o nim czasem
skuci samotnością
w godzinie zmierzchów szukaliśmy
świetlnych drzwi
na których można by zbudować ołtarz ufności
Powiedz
jeżeli oddamy sobie życie
jakim światłem wtedy pochylisz dzień
do nocy

W pocałunkach
jeszcze słychać szept wiosennej burzy
i dalekie ptaki powracają w śpiewie
Powiedz
w pocałunkach
nie trzeba przysięgać ptakom nocy

Więc co się stanie
najbliżej nas
w rozwartych palcach pieszczot
przez wiatr pełen słońca
przez wiatr ponad gwiazdami
i w ciasnych ścianach domu
jeżeli bardziej już nie potrafimy siebie kochać

Co się stanie poza nami
komu rozdamy łzy

WIESŁAW ŚLADKOWSKI

Niemcy w „Placówce" i w publicystyce Bolesława Prusa

OSIEMDZIESIĄT lat temu warszawski *„Wędrowiec"* rozpoczął druk *„Placówki"*, pierwszej większej powieści Bolesława Prusa, książki znanej powszechnie, niesłychanie popularnej i wciąż bliskiej czytelnikowi polskiemu. Problematyką w niej zawartą interesował się Prus już znacznie wcześniej. Według L. Włodka, jednego z pierwszych biografów autora „Placówki" *„...publicystycznie żadną sprawą nie zajmował się Prus tyle, co sprawą stosunków polsko-niemieckich"*. Opinie i poglądy Prusa na te niełatwe zagadnienia, zachodzącą w nich ewolucja, okoliczności, w jakich pracował nad „Placówką", wreszcie umiejscowienie akcji powieści — to kwestie nader interesujące i zasługujące na przypomnienie. Zwłaszcza dla czytelnika lubelskiego, wiele z nich bowiem wiąże się bezpośrednio z Lubelszczyzną.

Osadnictwo niemieckie w Królestwie Polskim wykazywało w latach po reformie uwłaszczeniowej dużą prężność, obejmując swym zasięgiem coraz to nowe tereny. Część biedniejszych kolonistów ze starych skupisk osadniczych, znajdujących się w zachodnich i środkowych guberniach Kongresówki (kaliska, piotrkowska, płocka), rozpoczęła wtedy dalszą wędrówkę na wschód, zwłaszcza na teren guberni lubelskiej, gdzie ziemia — wskutek licznych parcelacji podupadłych majątków — była bardzo tania. Na zjawisko to pierwsza zwróciła uwagę *„Gazeta Lubelska"* (57, 1875), która ogłosiła szereg alarmujących, jej zdaniem, danych, świadczących o silnym rozwoju kolonizacji niemieckiej w powiecie lubartowskim. We wnioskach przestrzegała przed groźbą zalewu niemieckiego i nawoływała do obrony polskiej ziemi. Apel podchwyciła prawie cała ówczesna prasa, zwłaszcza stołeczna. Pisarzem, który miał odwagę przeciwstawić się tej powszechnej niemal opinii, był Bolesław Prus. Kwestię kolonizacji niemieckiej w Królestwie omówił obszernie w jednej ze swych kronik w *„Ateneum"* (6, 1876). W myśl pozytywistycznych założeń wskazał przede wszystkim na gospodarcze i demograficzne przyczyny określające rozwój kolonizacji. Były nim według Prusa; mniejsza gęstość zaludnienia i tańsza ziemia w Królestwie oraz zacofanie miejscowej gospodarki. Dla autora okrzyk wielu publicystów: nie dopuszczajcie Niemców — był pustym frazesem. Kolonizację, jego zdaniem, mogły zahamować jedynie warunki naturalne, *„...wzrost ludności, wzrost dobrobytu, oświaty i prawdziwej miłości do kraju. Uczmy ludzi higieny, pedagogiki i ekonomii (...) zachęcajmy ich do oszczędności, do nauki, przyzwyczajajmy do zdrowego poglądu na rzeczy, a walkę z Niemcami im samym pozostawmy. Dadzą sobie oni i bez nas radę"* — pisał już w 1876 r. późniejszy autor „Placówki". Z optymizmem patrzył na sprawy narodowościowe mniemając, że, podobnie jak poprzednio, koloniści będą łatwo i szybko asymilować się z miejscową ludnością. W konkluzji Prus wystąpił stanowczo przeciwko głosom nawołującym do walki z kolonizacją i niemczyzną w Królestwie. Jego zdaniem, walcząc z szowinizmem niemieckim, nie można posługiwać się tą samą bronią.

Poglądy Prusa zostały przychylnie przyjęte w kołach pozytywistycznych i postępowych. Druga z wychodzących wówczas gazet lubelskich, zbliżony do ideologii pozytywistycznej *„Kurier Lubelski"* (74 i 75, 1876), odpowiadając *„Gazecie Lubelskiej"* na wspomniany artykuł, przedrukował w zasadzie całą wypowiedź Prusa, zaznaczając od siebie, że daje ona w pełni obiektywny i słuszny pogląd na kwestie kolonizacji. Z drugiej jednak strony stanowisko Prusa spotkało się z bardzo ostrymi i niewybrednymi atakami. Najgwałtowniej wystąpiła przeciwko niemu *„Niwa"*, czasopismo, z którym Prus poprzednio współpracował. Z czasem zmieniło ono swój pozytywistyczny profil, stając się organem ziemiaństwa. Bezimienny współpracownik *„Niwy"*, ukrywający się pod pseudonimem Jacka Soplicy, w znamiennie zatytułowanym felietonie *„Pierwszy występ p. Głowackiego w roli krzyżackiego Komtura — Ateneum w pikelhaubie"* (X/1876), przeciwstawił się wszystkim argumentom B. Prusa, którego uznał za apologetę germanizmu. Osadnictwo niemieckie nieznany autor rozpatrywał głównie na płaszczyźnie politycznej, uważając niemieckie kolonie w Królestwie za *„...okupacyjne forpoczty wielkonie-*

(Dokończenie na str. 8)

ROMUALD KARAŚ

W mieście Owidiusza

Korespondencja z Rumunii

PROSZĘ państwa, jesteśmy w jednym z najstarszych miast Europy — zwraca się rumuński przewodnik do zgromadzonych gości — Będziemy zwiedzać Konstancę, czyli dawną Tomeję, która została założona w VI wieku przed naszą erą przez Jończyków z Miletu. Tomeja była nie tylko poważnym portem handlowym, lecz również punktem oparcia greckich okrętów wypływających na północne wybrzeża Morza Czarnego. W swej historii miała czasy rozkwitu i upadku, najczęściej podczas walk miast greckich, napadów Celtów i Bastarnów. Tędy przeciągnął w swym gigantycznym pochodzie wojennym król perski, Dariusz, który podbił Indię, rozbił Scytów, zapuścił się aż do Dunaju, zawładnął Tracją i Macedonią. W IV i III wieku przed naszą erą Tomeję i sąsiednie miasto Kalatis podbił Aleksander Wielki. Pod rządami Oktawiana, w ósmym roku naszej ery, Tomeja została przyłączona do Rzymu. Dzisiejszą nazwę Konstanca otrzymało miasto od położonej w pobliżu Tomei wsi Constantiana, której swoje imię dał cesarz bizantyjski Konstantyn Wielki.

Jakby kontynuacją słów przewodnika jest wędrówka do muzeum archeologicznego w Konstancy. Przechadzka brzegiem Morza Czarnego wzdłuż nowoczesnych, komfortowych gmachów, nie uprawdopodabnia antycznego charakteru miasta. Spojrzenie kierowane aż po zamkniętą niebem linię morza nie przywodzi także na myśl legend o wyprawach argonautów po złote runo, przemierzających ponoć tymi szlakami trasę do Kolchidy. Na horyzoncie widzi się statki parowe, które płyną do największego portu morskiego Rumunii — Konstancy. Ale oto fragment ulicy z charakterystycznym ogrodzeniem. Oglądamy ruiny rzymskiego budynku handlowego z II—III wieku naszej ery. Budynek odkryto w 1959 roku. Najbardziej fascynującym znaleziskiem jest wspaniała mozaika sześciokolorowa wykonana w marmurze i piaskowcu. Główny motyw ornamentyki to cantharus, starogreckie, bardzo pękate naczynie do picia z szerokim otworem.

Znów wędrówka po Konstancy, mieście ruchliwym, pełnym portowego zgiełku i turystów szukających historycznych pamiątek w trakcie swych wycieczek z modnych kurortów Mamai i Eforii. Pod ogromnym hotelem Continental, będącym świadectwem rumuńskich osiągnięć architektoniczno-budowlanych, drugie spotkanie z antykiem: ukazują się odkopane przez archeologów fragmenty rzymskich murów obronnych. Dawna Tomeja odsłania minioną świetność.

W muzeum archeologicznym panuje już tylko urzekający świat starożytności. Kapitele, kolumny, ołtarze i sarkofagi z marmuru, bogate zbiory amfor i monet. Wszystkie te znaleziska są z obwodu Dobrudży, której centrum jest Konstanca. Świadczą one o bujnym życiu, jakie kwitło tu od 2500 lat. Z tysięcy eksponatów najbardziej urzeka szlachetna w wyrazie statua Fortuny i boga Morza Czarnego — Pontosa.

W płaskorzeźbach i mozaikach powtarza się postać wojownika trackiego na koniu, ponoć pierwowzór świętego Jerzego. Stąd właśnie rozprzestrzenił się kult świętego, który od 1222 roku awansował na głównego patrona Anglii.

Wśród mnogości przedmiotów zgromadzonych pieczołowicie w muzeum archeologicznym zwróciłem uwagę na maluteńką figurkę kamienną człowieka, który jakby zafrasowany, pełen dręczących spraw, podparł dłońmi głowę i wytęża myśl. Figurka człowieka, zwanego przez współczesnych myślicielem z Hamangii, pochodzi z czasów neolitycznych i zawiera przewiercenia i piłowania kamienia, charakterystyczne dla tej epoki. Nasuwa ona nieodparcie skojarzenie, że oglądamy dzieło współczesnego rzeźbiarza awangardowego. Czy jest to jednak punkt do oceny nowoczesnej sztuki? Możliwe, że przyczynek godny zwrócenia uwagi.

Już na zakończenie wizyty w muzeum przewodnik, chcąc zaakcentować znajomość literatury polskiej, nawiązuje do pewnej rzeźby przedstawiającej niewolnika.

— *Wasz Sienkiewicz pisząc w „Quo vadis?" o niewolniku Ursusie zaznacza jego słowiańskie pochodzenie. Nie ma racji, bo Ursus był Trakiem i pochodził najprawdopodobniej z okolic Tomei.*

Nie pamiętałem, czy istotnie sienkiewiczowski Ursus był moim pobratymcem. Mimo wszystko stwierdzenie przewodnika wydało się interesujące, bo wskazywało na wielką siłę wyrazu artystycznego książki, która z ogromną sugestią narzucała traktowanie postaci fikcyjnej jako historycznej.

Ulicą Tomis, noszącą historyczną nazwę dawnej kolonii greckiej, zmierzam do rynku Konstancy. Z masywnego cokołu pomnika spogląda na ziemię swego wygnania rzymski poeta Owidiusz. Najbardziej utalentowany z elegików stał się piewcą erotycznych przygód: sławił swą miłość do Korynny, ukazywał ból opuszczonych kochanek. Jednak ta tematyka miłosna okazała się w czasach Augusta niebezpieczna, bo pozostawała w sprzeczności z moralizatorskimi zapędami cesarza, który nie był tolerancyjny w stosunku do autora opisującego w „Sztuce kochania" sposoby zdobywania kobiet. To zapewne, jak i uwiedzenie Julii — wnuczki Augusta, stało się powodem przymusowego pobytu Owidiusza w Tomei. Dla współczesnych Rumunów ten fakt oznacza zyskanie ostatniego wielkiego rzymskiego poety i pierwszego poety zamieszkującego na ich ziemiach. Poety, który nauczył się nawet mówić po getycku i sarmacku, pozostawiając spory zasób wiedzy o przodkach Rumunów. Mieszkańcy Konstancy z dumą wynoszą Owidiusza na patrona swego miasta, ale mają mu nieco za złe, że w bardzo ciemnych i ponurych tonach przedstawiał ich region. Mówią, że przesadzał, szczególnie w opisach ostatniej pory roku, w której *„tak zimno, że wino zamarza i przybiera kształt dzbana"*. Ale ten minorowy wydźwięk przypisują tęsknocie za Rzymem, do którego poeta usiłował powrócić, lecz podejmowane starania nie znajdowały zrozumienia u cesarza, tak iż zmarł na wygnaniu.

„...Tędy przeciągnął w swym gigantycznym pochodzie wojennym król perski Dariusz". Fot. MAJ

A propos śmierci Owidiusza: wciąż nie znamy jego grobu. Archeologowie przypuszczają, że poeta został pochowany w okolicach głównego wyjścia w mieście. Do tej pory nie wiadomo jednak, gdzie to wyjście się znajduje...

Jeszcze wizyta w XVIII-wiecznym meczecie tureckim. Można w nim oglądać m. in. ogromnej wielkości dywan, tylko częściowo rozwinięty z braku dostatecznego miejsca. Stróż wpuszczający turystów mówi, że to największy dywan świata (każdy chce mieć swoje naj..., naj..., naj...) i że anonimowa tkaczka pracowała nad swym dziełem przez siedemnaście lat.

Od tych spraw historycznych przeniosłem się do współczesności. Zwiedzając w Konstancy wielkie akwarium i muzeum Morza Czarnego, gdzie za szkłem oglądać można rozliczne gatunki ryb i krabów, śledzić ich zachowanie się, natknąłem się przypadkowo na Rumuna, który kilkanaście lat spędził przed wojną w Polsce. Był wtedy wysokim przedstawicielem swego państwa. Nadal bardzo interesuje się naszym krajem. Ponad dwie godziny wyjaśniałem mu szereg detalicznych problemów, bo w zasadniczych kwestiach orientował się doskonale. W końcu i ja miałem prawo do pytań. Liczyłem na odpowiedzi tendencyjne, zabarwione goryczą wskutek poniesionej kary: pięciu lat spędzonych przy ciężkich robotach w delcie Dunaju. Zetknąłem się z czymś zupełnie odmiennym: spojrzeniem obiektywnym, głęboko patriotycznym. Nie było ono dyktowane obawą, strachem czy przezornością. Dawny dyplomata, absolwent wydziałów humanistycznych dwu uniwersytetów, dziś po przekwalifikowaniu się i skończeniu szkoły średniej typu technicznego, umiał nie tylko znaleźć miejsce w życiu, lecz i w ocenie zdobyć się na bezstronność. Uwagi o współczesnej Rumunii, o rozwoju przemysłu, sukcesach budownictwa i rolnictwa, oświaty i nauki, o kraju, który wydźwignął się z ogromnej przedwojennej nędzy i ciemnoty, zakończył zdaniem:

— *Jeśli można mieć pewne zastrzeżenia, czy jesteśmy już społeczeństwem nowoczesnym, to nie można mieć wątpliwości, że państwem kierują nowocześni ludzie.*

Bardzo mi zaimponował ten człowiek. Spotkanie z nim utkwiło mi silnie w pamięci i było przewodnikiem, gdy zwiedzałem współczesną, 150-tysięczną Konstancę, główny ośrodek gospodarczy i kulturalny Dobrudży, z silnie rozwiniętym przemysłem spożywczym, włókienniczym, celulozowo-papierniczym, ważny port wywozowy ropy, produktów naftowych, drzewa i środków spożywczych.

VLADIMIR REISEL

Z cyklu: Wiersze o śnie

Sen

Sen
powie się zwyczajnie sen

Ale mój sen był z drzewa
skał
z pól i pni

Mój sen był z rąk
myśli
z miłości organicznego tworzywa

Mój sen to byłem ja
a moje ja
było z ludzi całego świata

Dlatego gdy mówię człowiek
to jest sen.

Sen o śnie

Niezwykle ciężkie są kamienie nocy.
Na czole ziarno rosy
i oddech nielekki.
Nic, tylko oddech nielekki.

Kroki obrazów dawnych i niedawnych
klepsydry cisza.

Samotność, studnia bez dna,
nad nią powala gwiezdna,
a pod nią szept daleki:

Sfruń motylem do wzroku,
przyjacielu ostatni, śnie.

Albo zstąp w świetlistym obłoku.

To już nie jest sen

Jestem poćwiartowany,
tak bywa u człowieka.
Licznymi korytami
napiera żywa rzeka

Trochę zły i trochę łagodny,
niby samotny a nigdy bez ludzi,
wśród nawalnic nagłych,
w wymiernym trudzie.

Nawpół ślepy i jasnowidzący,
może diament, może popiół już,
zmiennie widzę, często błądzę
w zaroślach puszcz.

Mam zmarszczki starców, uśmiech dzieci,
łaskę żebracza, pałaców wspaniałość,
przepych ubiorów, nagości cuchwałość.

Ale mi wielka gwiazda świeci.

Ze słowackiego przełożył:
Jerzy Pleśniarowicz

Z żałobne karty

W Warszawie zmarł JÓZEF KAZIMIERZ KOWALSKI, literat zamieszkały ostatnio w Białymstoku, autor zbioru poetyckiego „Solacz w nocy", powieści „Grzędowie", „Cywilny kanonik", „Czarna procesja", tomu opowiadań pt.: „Jaskry" a także opowieści o latach spędzonych w Oflagu pt.: „Odrutowane miasteczko".

Cześć Jego pamięci!

Przegląd PRASY

W „Życiu Literackim" bardzo interesująco rozwija się dyskusja o polskim reportażu. Po wypowiedziach K. Goldbergowej, J. Lovella i Z. Kwiatkowskiego ukazała się wypowiedź K. Dziewanowskiego: *„Tezy na stypę"* Traktuje on reportaż w ścisłym powiązaniu ze stanem obecnej prasy, która — zdaniem autora — przestała zaspokajać tkwiący w społeczeństwie głód informacji, ale w praktyce zeszła do roli *„prostej maszynerii służącej do ogłaszania pewnej liczby komunikatów"*. Trudności przeżywa nie tylko reportaż, ale i *„publicystyka społeczna, dotykająca problemów ustrojowych, ludowładztwa, modelu gospodarczego, kierunków rozwoju naszej cywilizacji. Podstawową cechą prawdziwej publicystyki jest stawianie pytania: co dalej? To najbardziej interesuje czytelnika. Ale polska publicystyka takich pytań nie stawia. Rzadkością także stał felieton, taki felieton, który zawierałby coś więcej niż uwagi o usługach, zaopatrzeniu, chuligaństwie i piosenkach"*.

Autor wymienia niektóre przyczyny takiego stanu rzeczy. Prasa nie może być sobą, jeśli poza sportowcami, piosenkarzami i pewnymi grupami artystów nikt nie udzieli dziennikarzowi wywiadu bez autoryzacji i poprawek. Częsty powód odmowy: publiczna wypowiedź może zaszkodzić. Albo płytkość publicystyki międzynarodowej: w czasie paryskiej wizyty premiera Cyrankiewicza prasa nasza szeroko pisała, co o tej wizycie myślą Francuzi i Niemcy, nie dowiedzieliśmy się co myślą Polacy. Zdumiewające są też ograniczenia w otrzymywaniu potrzebnych dziennikarzowi informacji. Aby otrzymać wypowiedź pracownika jakiejś instytucji, dziennikarz musi uzyskać na to zgodę dyrektora.

Jeśli do tego zgodzić się (?) z obserwacją Dziewanowskiego, że *„reporter jest jak saper. Jedna pomyłka wystarcza, by wylecieć w powietrze"*, to obraz sytuacji publicysty i dziennikarza daleki jest od sielanki. A mimo tych trudności reportaż jest. Pojawiają się ciekawe tomy nie tylko reportażu zagranicznego, który ma łatwy zbyt, ale interesujące pozycje o naszej współczesności. Klimat wokół nich jest jednak taki, że czytelnik ich nie zauważa.

„Polityka" powraca w obszernym i ciekawym reportażu A. K. Wróblewskiego *„Szpagat od wideł do irydu"* do głośnej kradzieży izotopu promieniotwórczego na budowie elektrowni koło Konina. Kradzieży dokonał 19-letni pomocnik montera dźwigowego, robotnik nie za gorliwy, nie za zdolny, ale który ciągle roił o jakichś nadzwyczajnych projektach. Reporter zbadał warunki i okoliczności kradzieży, prześledził losy młodego człowieka, miejsce jego zamieszkania (wieś położona 15 km od wielkiego centrum węglowo energetycznego, w której jeszcze nie ma prądu), przeszłość jego rodziny.

Wróblewski nie szuka sensacji, ale problemu. Sprawca kradzieży — K. Rybicki, jest winien, ale czy tylko on? *„Rybicki jest dzieckiem swojego kraju i swojego okresu: jedną nogą w ciemnej, prymitywnej wsi bez prądu, drugą nogą na nowoczesnej, potężnej budowie, z której ma popłynąć tysiąc megawatów. Z takiego rozkroku można zrobić niebezpieczny szpagat. Rybicki chciał wziąć czynny udział w dokonującym się na jego oczach obrządku opanowania techniki przez człowieka. Chłopi z pokolenia jego rodziców stawali wobec wszystkiego co było im nieznane, z rozdziawioną gębą, gotowi się przeżegnać. Rybicki gotów był wsadzić rękę w instalację wysokiego napięcia i wziąć izotop w keszeni"*. Oni wierzyli w różne magie. Rybicki — w magię izotopów. Pyta więc reporter: *„Czy to co Rybicki zrobił, można nazwać buntem? Czy tylko samowolą i głupotą?*

Ważną i doniosłą sprawę podjęła „Stolica" w redakcyjnym artykule *„Niech powstanie Muzeum Walki Narodu Polskiego"*. Artykuł stwierdza: *„w dwadzieścia lat po wojnie mamy pełny obraz cierpień, nie mamy ciągle pełnego obrazu walki. Mimo wielkich wysiłków, zresztą podjętych dopiero w latach ostatnich, mimo szeregu bezspornych osiągnięć wydawniczych i innych, ten obraz walki narodu polskiego czeka dopiero na kompletne opracowanie i podsumowanie. Jeżeli zaś chodzi o zbiory dokumentów, świadectw i pamiątek walki — sytuacja przedstawia się niepomyślnie"*.

Można by się spierać, czy obraz męczeństwa Polski czasu ostatniej wojny jest istotnie pełny. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie wymierzyliśmy jeszcze sprawiedliwości Polsce walczącej, dotyczy to tak wysiłku zbrojnego, jak i wszelkich postaci oporu. Po skrótowym przedstawieniu tych form walki i oporu przeciw wrogowi „Stolica" konkluduje:

„Trzeba ratować, co można przed ludzką niepamięcią: nie ocalone dziś — jutro zginie bezpowrotnie. Jest naszym obowiązkiem zapisać drobiazgowe kroniki na miarę — a chyba nawet ponad miarę — antycznej tragedii (...). Nie można dopuścić, by uroniono cokolwiek z tej skarbnicy polskiej, wypełnionej trudem i krwią, by za lat kilkadziesiąt postawił ktoś nam, którzy powinniśmy ją z pietyzmem chronić, tragiczne pytanie: dlaczego?"

T. K.

LUBLIN MIASTO WYŻSZYCH UCZELNI

STUDENT ANNO 1965

Doc. dr Wiesław Skrzydło

Prof. dr Mieczysław Stelmasiak

Prof. dr Marian Chomiak

(Dokończenie ze str. 1)

jednostkowymi przypadkami a nie polegający na obserwacji i analizie całej społeczności studenckiej.

Tylko konsumenci? Nie odchodząc daleko od własnego podwórka i nie sięgając w zbyt górne rejony: każdego roku, lubelscy „konsumenci" przepracowują z własnej woli w miasteczku uniwersyteckim — 20 000 godzin. Efekty może ocenić każdy, kto choć raz oglądał tę piękne zagospodarowaną dzielnicę — ogród. A liczne zespoły artystyczne i ich występy dla mieszkańców nie tylko Lublina, ale przede wszystkim jego okolic? Nowa sala widowiskowa w „Chatce Żaka" poprzez odbywające się w niej imprezy w dużej mierze przyczyni się do zaspokojenia potrzeb kulturalnych samego miasta. Już w najbliższym czasie wystąpią w niej zespoły teatralne z innych ośrodków studenckich (wśród nich jeden z najciekawszych w Polsce studenckich teatrzyków — łódzki „Pstrąg"). A ZMS, ZMW ZSP? Wreszcie silne powiązania z sąsiadującymi województwami poprzez koła rzeszowian, kielczan...

Czy minimalizm w nauce? W tym miejscu wystarczy po prostu kilka liczb. Nie mamy jeszcze co prawda ostatecznych wyników z bieżącego roku, ale dla przykładu: rok akademicki 1963/64 — na ogólną liczbę 2 659 zdających, zaliczyło — 2 337 osób, a więc 88 proc. To bardzo wysoki wynik, świadczący o poważnym podejściu do nauki. Tyle, jeśli chodzi o „naukę obowiązkową". Działają jednak jeszcze na naszej uczelni studenckie koła naukowe, do których żaden student nie ma przecież obowiązku należeć. Tych kół jest 15, a zrzeszają one łącznie 500 studentów stacjonarnych. Uwzględniwszy, że UMCS ma około 3000 studentów stacjonarnych — co szósty z nich jest członkiem koła naukowego.

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej powstał w dniu 22.X.1944 roku w Lublinie. Był on pierwszą uczelnią Polski Ludowej. W roku 1945 Uniwersytet liczył 900 studentów; zatrudniał 104 pracowników nauki oraz 43 osoby w administracji i obsłudze. Początkowo uczelnia miała wyraźny profil przyrodniczy. Jej pierwsze wydziały to: lekarski, przyrodniczy rolny, weterynaryjny i farmaceutyczny. W 1949 roku został otwarty wydział prawa, w 1952 r. wydział humanistyczny, w roku 1953 — wydział zootechniczny. Z istniejących już wydziałów powstały dwie nowe uczelnie. W roku 1950 — Akademia Medyczna (wydział lekarski i farmaceutyczny), w roku 1955 — Wyższa Szkoła Rolnicza (wydziały: rolny weterynaryjny i zootechniczny). Obecnie Uniwersytet posiada jak w chwili powstania — pięć wydziałów: wydział prawa, humanistyczny, biologii i nauk o ziemi, matematyczno-fizyczno-chemiczny oraz wydział ekonomiczny, który rozpoczął działalność dopiero w bieżącym roku akademickim. Uniwersytet posiada również punkty konsultacyjne w Rzeszowie i Zamościu. W skład UMCS wchodzą m. in. 64 katedry i 72 zakłady naukowe. Ogólna liczba studentów wynosi 4610 osób, z czego 2800 osób studiuje na studiach stacjonarnych, reszta zaocznie i eksternistyczne oraz w Zawodowym Studium Administracyjnym. Spośród 1018 pracowników Uniwersytetu ponad 350 osób to personel naukowy. Liczne prace naukowe publikowane są za pośrednictwem własnego wydawnictwa — Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska, obejmującego 19 sekcji. W latach 1966—1970 liczba studentów wzrośnie do 4490 osób, a w roku 1980 — do 7700. W okresie swego istnienia Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej wydał ponad 5000 dyplomów ukończenia studiów wyższych.

— Nie można jednak chyba całkowicie zaprzeczyć opinii, że w porównaniu ze studentem sprzed lat np. dwudziestu, dzisiejszy mniej poważnie podchodzi do życia i jednak... do nauki.

— Oczywiście. Ale to właśnie przed dwudziestu laty, a nie teraz sytuacja była „nienormalna". Bez wątpienia, studenta roku 1965 nie cechuje już ten „szlachetny zapał", jaki był udziałem tego z 1945 roku, i który to zapał wciąż z lezką w oku lubimy wspominać. Ale równocześnie wciąż zapominamy, że były to czasy wyjątkowe, że tamci ludzie najczęściej k o n t y n u o w a l i przerwane studia, rozpoczęte przed wojną, lub w czasie wojny, byli już jednostkami bardziej ukształtowanymi przez życie (tutaj może nasunąć się niejednokrotnie porównanie z dzisiejszym studentem zaocznym), że wreszcie przeciętna wieku studenta w owych czasach wahała się w granicach 25—30 lat, podczas gdy dzisiejszy student przychodzi na uczelnię mając lat 17—18. Tamci musieli dogonić życie, ci chcą w nim — studiując — brać jednocześnie pełny udział.

Zresztą, cały Uniwersytet, z upływem czasu — brzmi to paradoksalnie — młodnieje. Przeciętny wiek docentów wynosi 44 lata, dziekanów — 45, prodziekanów — ci zajmują się głównie sprawami młodzieży — 36 lat. Przeciętny wiek członków kolegium rektorskiego wynosi 45 lat.

— Uniwersytet przeżywa więc prawdziwą inwazję młodych naukowców i pedagogów?

— W okresie ostatnich 6 lat przeprowadzono na UMCS 150 przewodów doktorskich, a 32 osoby uzyskały docenturę. Dzięki licznym wyjazdom za granicę na stypendia naukowe oraz dzięki własnym możliwościom edytorskim Uniwersytetu okres dzielący moment uzyskania magisterium od momentu zatwierdzenia stopnia docenta zmalał do prawie jedenastu lat. Stąd wielu naszych docentów, to ludzie stosunkowo bardzo młodzi, 34—35-letni. Niemal „rówieśnicy" tamtych studentów sprzed lat dwudziestu.

Jeżeli natomiast chodzi o „inwazję", to zastanawiający jest raczej procent „płci na uczelni". 66 procent studiujących, to kobiety. Ich liczba stale wzrasta. W bieżącym roku akademickim na pierwszych latach, studiuje już 70 proc. kobiet.

Są wśród nas tacy, którzy podejrzewają, czy nie jest to... jakiś nie wytłumaczony wpływ samej patronki — Marii Curie-Skłodowskiej.

Akademia Medyczna

Rektor

Prof. dr Mieczysław Stelmasiak

— Studia medyczne są długie i niełatwe. Sam więc już fakt utrzymywania się podczas nich na równym poziomie i uzyskiwania dobrych wyników świadczy w dużej mierze o wartości studiującego, o jego charakterze.

Studiujących na Akademii Medycznej podzieliłbym na trzy grupy. Pierwsza to studenci, którzy po przyjęciu na uczelnię zdecydowanie zabierają się do nauki, uzyskują efekty pełne i całkowite i żadna przeszkoda nie potrafi ich zatrzymać przed normalnym i terminowym ukończeniem studiów. Co ciekawsze, właśnie ta grupa, zajęta przecież bezustannie i najaktywniej nauką swojego zawodu, równocześnie najaktywniej włącza się do spraw społecznych, do życia społecznego i kulturalnego. A większość z nich należy jeszcze przecież do kół naukowych w poszczególnych katedrach; już teraz, podczas studiów, wielu studentów poważnie myśli i przygotowuje się do kariery naukowej. Takich dobrych studentów mamy na naszej uczelni prawie połowę. A więc 50 proc. studentów to ludzie silni, zdecydowani, wiedzący czego chcą i czego się mogą spodziewać od życia. Bardzo na nich liczymy. Druga grupa, 25—35 proc. — to studenci chwiejni, wymagający szczególnej opieki ze strony pedagogów. W sprzyjających okolicznościach osiąga ona jednak efekty zbliżone do grupy pierwszej. I tylko 10—15 proc. stanowią osoby nie mogące podołać studiom albo ze względu na mniejsze zdolności, z uwagi na nagłe przeciwności losu, lub po prostu — lekceważący stosunek do pracy.

Akademia Medyczna w Lublinie powstała w 1950 roku w wyniku wyodrębnienia z UMCS wydziałów: lekarskiego i farmaceutycznego. Na Akademię Medyczną uczęszcza w chwili obecnej ok. 50,0 studentów, uczelnia zatrudnia 400 pracowników naukowych. Od chwili powstania wydziały wykształciły 2500 lekarzy i 500 farmaceutów. Prace naukowców AM są publikowane stale w Annales UMCS w sekcji D. Ostatnio Akademia Medyczna uzyskała do eksploatacji ogromny, nowoczesny Zespół Kliniczny A przy ulicy Jaczewskiego w Lublinie, obejmujący kubaturę ok. 200.000 m sześc. W zespole tym mieści się m. in. 7 klinik i 7 zakładów naukowych. W bieżącym roku, obok Zespołu Klinicznego A, rozpoczyna się budowę domów studenckich. W przyszłości w czterech budynkach zamieszka 1200 osób. Teren, na którym zostanie zlokalizowana cała Akademia Medyczna, obejmuje powierzchnię 40 hektarów.

Dzisiejszy student w masie jest jednostką pozytywną. Zdarzają się natomiast wypadki, że jako jednostka wpływa niejednokrotnie na ujemną opinię o ogóle. Tak już jest, że przyzwyczailiśmy się bardzo wyraźnie dostrzegać to, co ujemne i jednocześnie przechodzić lekko do porządku dziennego nad tym, co pozytywne. Może to zresztą i w wielu wypadkach zasada słuszna?

Jeżeli chodzi o pracę społeczną naszych studentów, warto szczególną uwagę zwrócić na liczne i bezinteresowne ich wyjazdy w ramach tzw. „białych niedziel" do miejscowości prowincjonalnych i niesienie tam — w miarę swoich możliwości i umiejętności — pomocy lekarskiej. Szczególnie dużo osób należy na Akademii Medycznej do ZMS i do partii.

— W ubiegłych latach egzamin na Akademię Medyczną w Lublinie przebiegał nieco inaczej niż w innych uczelniach...

— Tak. W poprzednich dwóch latach pokusiliśmy się o pewien eksperyment. Rekrutacja na studia odbywała się na zasadzie tzw. „egzaminu pedagogicznego". Komisja egzaminacyjna badała umiejętności kandydata na studenta nie tylko z zakresu fizyki, biologii czy chemii, ale starała się również zorientować, jakie jest jego przygotowanie do życia społecznego, politycznego, kulturalnego. W skład takiej komisji wchodził również psycholog. W bieżącym roku, od 1 października zostaliśmy objęci reformą studiów. Na poszczególnych latach zostały połączone przedmioty tematycznie pokrewne. Na pierwszym roku realizowane są nauki morfologiczne, a więc, anatomia, histologia, embriologia (egzamin z anatomii już po pierwszym roku studiów), na drugim roku — nauki fizjologiczno-chemiczne.

— Bieżący rok akademicki przyniósł egzamin wstępny oparty na zasadzie anonimowości, konkursu i punktacji. Wiele dyskusji wzbudziła zasada przyznawania punktów za pochodzenie społeczne...

— Po tegorocznych doświadczeniach wydaje się nam, komisji egzaminacyjnej, że zasada punktowania za pochodzenie powinna być jeszcze raz poddana przez Ministerstwo szczegółowej analizie. Być może powinny być takie punkty przyznawane na zasadzie procentowości w stosunku do punktów uzyskanych za przedmioty zasadnicze.

Wyższa Szkoła Rolnicza

Rektor

Prof. dr Marian Chomiak

— Odpowiedź nie jest łatwa. Student to zjawisko skomplikowane. W dodatku nie określono o jakiego studenta chodzi. Tego z pierwszego roku, czy tego z ostatniego? Pierwszy jeszcze nie całkowicie rozstał się ze swoim dotychczasowym środowiskiem, niedawno opuścił mury szkoły w swym, często odległym, prowincjonalnym miasteczku, lub we wsi, drugi ma poza sobą 5 lat nauki na wyższej uczelni a zarazem dłuższy pobyt w dużym, wojewódzkim mieście. Pierwszy nosi jeszcze ubrania szyte przez małomiasteczkowego krawca, drugi — modny garnitur. Jeden marzy dopiero o zdobyciu zawodu, drugi poważnie myśli o czekającej go pracy zawodowej, mieszkaniu, przyszłej rodzinie. Albo taka sprawa: przed dziesięciu laty musieliśmy jeździć do Krakowa i tam werbować kandydatów na zootechnikę czy rolnictwo, bo w Lublinie było na tych wydziałach więcej miejsc niż chętnych. Dzisiaj na jedno miejsce przypada kilku kandydatów. Jest więc z czego wybierać. Można by stąd wysnuć wniosek, że poprzez możliwość odpowiedniego doboru (przez uczelnię) kandydatów dzisiejszy student jest o wiele wartościowszy od tego z 1955. Ale na weterynarię mieliśmy zawsze nadmiar chętnych... I znowu kwestia pochodzenia, środowiska, tylko że już w innym aspekcie: 60% młodzieży studiującej w Wyższej Szkole Rolniczej, pochodzi ze wsi. Reszta to dzieci robotników, rzemieślników, inteligencji pracującej. Dlatego chociaż różnice środowiskowe szybko się zacierają, silniej niż na innych uczelniach daje się zauważyć u nas powiązanie studentów ze wsią. Właśnie na wyższych uczelniach rolniczych największą popularnością cieszy się Związek Młodzieży Wiejskiej a nie ZMS czy inne organizacje.

— Podobno w czasie tegorocznych egzaminów wstępnych zastosowano na Wyższej Szkole Rolniczej inną zasadę punktowania niż na pozostałych uczelniach?

— Tak. Ale tylko przy egzaminach na weterynarię, eksperymentalnie. Zdający egzamin, nie otrzymywał dodatkowych punktów za „pochodzenie społeczne", ale za... poziom szkoły, którą ukończył.

— Jak się przedstawiają plany rozbudowy uczelni?

Wyższa Szkoła Rolnicza powstała w 1955 r. przez wyodrębnienie z UMCS wydziałów: weterynaryjnego, rolnego i zootechnicznego. Oprócz głównej siedziby w Lublinie posiada punkt konsultacyjny dla studiujących zaocznie w Białej Podlaskiej. W Wyższej Szkole Rolniczej studiuje 1700 osób na studiach dziennych i 560 na zaocznych. Uczelnia zatrudnia 46 profesorów i docentów oraz 184 młodszych pracowników nauki. Do bieżącego roku 1650 absolwentów uzyskało tytuł lekarza weterynarii, 700 dyplom inżyniera rolnictwa, 700 dyplom magistra rolnictwa i 250 — dyplom magistra zootechniki.

— Dążymy przede wszystkim do powiększenia jej o nowe wydziały: mechanizacji rolnictwa i ogrodnictwy. Istniejące obecnie katedry są przygotowane do takiej rozbudowy. Posiadają odpowiednią bazę dydaktyczną i naukową do całkowitego usamodzielnienia się. Trzeba tutaj podkreślić, że władze wojewódzkie łączą duże nadzieje z powstaniem nowych wydziałów. Plany Wojewódzkiej Rady Narodowej zakładają wielki rozwój ogrodnictwa na Lubelszczyźnie. Rozbudowana Wyższa Szkoła Rolnicza będzie miała za zadanie zapewnić w tym przedsięwzięciu *kadrę fachowców.*

Wyższa Szkoła Inżynierska

p.o. prorektora

Dziekan Wydziału Mechanicznego

Mgr inż. Seweryn Bobiński

— Student roku 1965? Chyba trudno mi będzie dać konkretną, wyczerpującą odpowiedź. Wyższa Szkoła Inżynierska istnieje od 1953 roku, ale... pierwszy student „dzienny" — młody człowiek najczęściej zaraz po maturze, zagościł w murach naszej uczelni dopiero przed miesiącem. Co o nim wiemy?

Wyższa Szkoła Inżynierska istnieje już od 12 lat, jednak dopiero w bieżącym roku uzyskała prawo prowadzenia studiów dziennych. Wydziały: budowlany, elektryczny i mechaniczny. Od 1953 roku, tj. od chwili powstania, mury uczelni opuściło 270 absolwentów. Wyższa Szkoła Inżynierska zatrudnia 41 pracowników dydaktycznych; studiuje w niej 1160 osób, w tym 170 na studiach stacjonarnych. Do 1980 roku liczba studentów na studiach dziennych ma wzrosnąć do 2000, na wieczorowych i zaocznych — do 4000. W przyszłych latach, kosztem ok. 250 milionów złotych, zostanie wybudowany cały nowy i nowoczesny ośrodek dydaktyczno-naukowo-mieszkalny WSI.

Oczywiście, pozostaje doświadczenie nabyte w pracy ze studentami „wieczorowymi". W ciągu dwunastoletniej pracy z takimi studentami główny nacisk kładliśmy na sprawę nauki, dzisiaj spiętrzyły się przed nami setki problemów, z którymi stykamy się często po raz pierwszy. Teraz trzeba się studentem zaopiekować; myśleć o tym, gdzie będzie spał, co będzie jadł, jak powinien spędzać czas wolny od zajęć. Do sprawy nauki doszły sprawy wychowawcze...

— Sytuacja chwilami podobna do tej, w jakiej przed dwudziestu laty, w czasach niemal historycznych, organizował się UMCS?

— W pewnym sensie tak. Na pierwszy rok studiów przyjęliśmy 170 osób. Z tego 55 osób to studenci zamiejscowi. A więc od razu — problem domu studenckiego. Dziewczęta przygarnął Blok „C" w miasteczku akademickim, chłopcy ulokowali się w naszym pierwszym, własnym „akademiku" — baraku, niestety w 12 i 16-osobowych pomieszczeniach.

— Mimo to przyszłość, o ile wiadomo, nie wygląda tragicznie. W najbliższym czasie mają być podjęte prace związane z rozbudową, a właściwie z budową od podstaw całego ośrodka dydaktyczno-naukowo-mieszkalnego.

— Dla ścisłości: prace te zostały j u ż podjęte. W okolicach ulic: Nad bystrzycką i Wapiennej, gdzie zresztą została zlokalizowana cała przyszła uczelnia. Gotowa całość, która oprócz zakładów naukowych będzie obejmowała również budynki domów akademickich z 1000—1500 miejscami, zaplecze gospodarcze i hale sportowe — osiągnie kubaturę 260000 m sześciennych.

— Tak więc krąg się zamknął i Lublin objęty ze wszech stron nowoczesnymi ośrodkami dydaktyczno-naukowymi dostał się niejako w „kleszcze nauki". Oby mu to wyszło na dobre.

Rozmawiał i notował:
Mirosław Derecki
Fotografował:
Andrzej Polakowski

Mgr inż. Seweryn Bobiński

ANDRZEJ TOMCZAK

Wczorajszy dzień z Mazur

leżę na słońcu
trawa jak dywan perski
i lekki wiatr
zza topianu
we włosy uczesuje
zapach kwiatów

oczy na chmurach
spoczywają leniwie
i drążą nieobecność
prawie do dna

jest słońce
jest zieleń
jest oddalenie

oddalenie od bezduszności
murów
i dwóin ludzkich
nie ma ludzi
są drzewa
nie ma ścian
jest przestrzeń
aż w niebo
nie ma konwenansów
jest milczenie
w pochyleniu trawy
jest milczenie

Warszawa

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Żeby wrzesień był złoty...

BARDZO ładnym pomysłem było przydanie słonecznemu polskiemu wrześniowi czegoś tak nobliwego, ekstra dla Lublina, jak „lubelski wrzesień muzyczny", będący pewnego rodzaju uwerturą do nowego sezonu imprez artystycznych. Inicjatywa Wydziału Kultury Prezydium WRN i Państwowej Filharmonii im. Henryka Wieniawskiego, spotkała się z wymowną aprobatą miłośników muzyki — wypełniali oni wiernie uroczą salę przy ulicy Osterwy na wszystkich koncertach przedsięwzięcia. Szczęśliwie też został pomyślany udział we „wrześniu" orkiestr symfonicznych Kielc i Rzeszowa, kolejne świadectwo godziwego przymierza województw Polski wschodniej. Jednakże, skoro już mieliśmy drugi lubelski wrzesień muzyczny, wypada dołączyć do pochwały samego zamysłu, krótką choćby analizę jego wykonania, postulatywną w stosunku do przyszłych LWM.

Właściwie nasuwa się tu kardynalna uwaga, związana z prozaiczną sprawą metod organizacyjnych. Przecie ogłosić „wrzesień muzyczny" nie znaczy to przyobiecać, iż w kilku złotych dniach wrześniowych zaprodukuje się tyle, ile się zmieści, j a k i e j ś genialnej, znakomitej, dobrej i niezłej muzyki, wykonanej przez fenomenalnych, wybitnych, wykwalifikowanych solistów, dyrygentów i orkiestrantów. Placówka, która powzięła ambitny zamiar urządzenia reprezentacyjnej bądź co bądź imprezy, powinna z a p l a n o w a ć ją precyzyjnie, na długo, długo przed momentem prezentacji.

Niestety, patrząc na afisz II Lubelskiego Września Muzycznego odnosimy wrażenie, iż ten nieodzowny warunek użytecznych poczynań nie został spełniony przez dyrekcję naszej zasłużonej filharmonii. Zarówno wybór solistów, jak dobór utworów, okazał się raczej przypadkowy.

A wszakże jakkolwiek luźnym łącznikiem dla grupy koncertów jest miano tego lub innego miesiąca, zgrupowanie objęte jednym mianem musi mieć pewną myśl przewodnią, wyodrębniającą je od koncertów tradycyjnego „sezonu" (opartego z kolei na swojej idei naczelnej).

Przede wszystkim tedy rodzi się kwestia, czy owe biesiady muzyczne mają być, co się zowie, popularne, czy też w jakimś sensie ekskluzywne, zdobiące dzień powszedni czymś nowym, „odświętnym"?.

Na to pierwsze pytanie odpowiedź wypadła jasno: II Lubelski Wrzesień Muzyczny został pomyślany najwidoczniej jako impreza „popularna".

No, jeśli już tak, to pozostawiając chwilowo na uboczu sprawę słuszności tego założenia, pozwolę sobie zauważyć, że właśnie imprezy przeznaczone dla szerokich warstw społeczeństwa wymagają specjalnie troskliwego planowania.

Rozmaite się tu nastręczały warianty. Można było urządzić łatwy cykl muzyki polskiej, można było poświęcić poszczególne koncerty muzyce tego lub innego narodu, albo skontrastować umiejętnie w programie muzykę klasyczną ze współczesną. Tak czy owak faktem pozostaje, iż punktem wyjścia organizacji naprawdę pożytecznych koncertów p o p u l a r n y c h jest racjonalny projekt repertuarowy. Do wykonania tego projektu powinna być przygotowana orkiestra i do tego projektu należy dobierać solistów. A na to potrzebny jest, jak się rzekło wyżej, dłuższy okres przygotowawczy. Bo pochopność prowadzi częstokroć do działania wręcz odwrotnego: angażuje się najpierw solistę, który przypadkowo ma wolny termin, ten zaś solista opatrznościowy narzuca odpowiadający mu utwór, potem orkiestra dodaje do programu coś niecoś wyuczonego i „dobra!" Jeden taki wypadek robi rysę na planie, ale jeśli podobnych pociągnięć jest więcej, dopieroż akcja staje się całkiem bezplanowa.

Nie przeczę, że szanująca się filharmonia ma prawo zaprosić solistę z dobrodziejstwem wybranego przez niego repertuaru, lecz nie ulega też wątpliwości, iż powinna to uczynić tylko wtedy, kiedy chodzi o zdobycie wyłącznie tego, a tego w i e l k i e g o artysty „dla honoru domu" i na potrzeby wytrawnych melomanów.

Gdyby było na tych łamach za dużo wolnego miejsca, można by przeprowadzić szczegółową analizę sześciu zestawów koncertów wrześniowych, z których ostatni stanowił zarazem inaugurację sezonu koncertowego 1965/66. Lecz w gruncie rzeczy nie zachodzi taka potrzeba — afisz długo wisiał na murach, a programy drukowane zostały chyba schowane na pamiątkę przez miłośników muzyki, którzy uczęszczali na owe koncerty. Mogą więc oni skontrolować stopień słuszności niniejszych uwag. Wystarczy tedy, jeśli przypomnę tytułem przykładu, że na koncercie otwierającym „wrzesień muzyczny" wykonano obok Uwertury Karpińskiego do opery „Królowa Jadwiga" oraz Koncertu skrzypcowego Karłowicza Suitę symfoniczną Rimskiego-Korsakowa „Szeherezada"...

„Szeherezada"! Przepadam za Szeherezadą i na pewno nawet najwybredniejszy nowoczesny melioman może się nią w skrytości ducha delektować, ale dlaczego zaprodukowano ją właśnie w tym kontekście i w tych okolicznościach? Czyż nie bardziej logiczne byłoby wykonanie na inaugurację „września", powiedzmy, poematu symfonicznego Mieczysława Karłowicza „Stanisław i Anna Oświecimowie", albo jego „Rapsodii litewskiej", albo też sięgnięcie do trylogii „Odwieczne pieśni" — słowem do dzieł, w których Karłowicz wypracował już własny styl. Bez wątpienia orkiestra kielecka, prowadzona przez znanego Lublinowi świetnego dyrygenta Karola Anbilda, posiada w swym dorobku repertuarowym dostatecznie pokaźny zasób pozycji, gdyby się więc dokonało wyboru w rodzaju przykładowo tu przeze mnie sugerowanego, zrobiłoby się koncert inauguracyjny poświęcony muzyce p o l s k i e j, *ergo* z pewną myślą przewodnią.

Nie świadczył o planowości imprezy również nadmiar muzyki wokalnej (na sześć programów aż trzy występy śpiewacze), nadmiar, jak każdy przerost, naruszający równowagę, a przeto niepożądany — mimo wszelkich zalet artystów, którzy wystąpili. Wreszcie, by nie zatrzymywać się na drobiazgach, od razu ostatnie słowo: o zaprojektowaniu inauguracji nowego sezonu, zarazem finału „września muzycznego".

To prawda, że I Koncert fortepianowy d-moll J. S. Bacha jest pozycją wspaniałą, stosunkowo niezbyt ograną, i prawda, że p. Elżbieta Głabówna, odznaczona VI nagrodą na niedawnym Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, wykonała dzieło poprawnie, dając w pierwszym i końcowym Allegro popis niemałej już biegłości, jednakże Adagio wypadło raczej blado, nasuwając myśl, że tak uroczyste momenty artystyczne, jak otwarcie sezonu, powinno się uświetniać udziałem najznakomitszych, najbardziej dojrzałych solistów. Szkoda więc, że zaproszenia nie poszły na czas do Baksta lub Kedry, w ogóle do jakiegoś tej miary mistrza fortepianu czy innego instrumentu muzycznego, by uzyskać przyjazd na ten właśnie ważny termin.

Mimo wszystko dobrze się stało, iż dyrekcja naszej filharmonii zechciała dodać sobie trudu i troski organizując „wrześnie muzyczne". Dobrze tym bardziej, że dała i tym razem sposobność wysłuchania niejednego arcydzieła w co najmniej dobrym wykonaniu. Jest nadto rzeczą pokrzepiającą dla miłośników muzyki stwierdzenie, że zarówno Kielce i Rzeszów, jak Lublin, mają dzisiaj orkiestry symfoniczne o nie byle jakim poziomie.

Tylko — przepraszam za nudziarstwo — gdybyż w dodatku ten lubelski wrzesień muzyczny był na przyszłość dokładniej planowany!

I jeszcze jedna sprawa, którą na wstępie tych uwag już musnęłam: czy musi być koniecznie „wrzesień" „popularny"? Skoro i radio, i telewizja, i Towarzystwo Muzyczne, i kiedy indziej też Filharmonia, w terenie i szkołach, prowadzi akcje umuzykalniające, to czy nie zawołamy w pewnej chwili, jak w znanej anegdotce: „Nie wszyscy święci na raz!" Niechże ostanie się w jakiejś placówce azyl trudniejszej muzyki dla zaawansowanych. No i dla orkiestry. Inaczej krok postępowy zamieni się w dreptanie na miejscu.

ZOFIA STAPOR

wizyta

ścieram kurz zmęczenia
z powiek
w pajęczynie gestów
uciekają źrenice bram
w okna stuka krzak
wyrwany z samotności

wyciągam rękę
delikatne wiotkie załązki
w klatce palców
opadają
nastroszone piórka

kropla rosy na otwartej dłoni
jest jak
uśmiech zmuszony do uciechi

Rzeszów

MARIA BALLOD

Matka Kamienna

Nie doszły darnia
mchem porosły jeszcze
kamień
szczerbami zrytych krajobrazów
cierpienia
cierpnie tarniną obrosły
przydrożny szorstki
próg
wezgłowie ptaków przelotnych
gwiazda zakrzepła
Madonno
dróg moich
żywy
zarzucony kamień

Lublin

Debiut

GRZEGORZ STAŃSKI

Siew wiersza

Siać słowo wierszem
przez wiatr rozniesione
piaskiem kieleckiej niwy —
opiewać jodły i ich gałęzie
kłaniające się ziemi
czasem Popiołów —
zachwycać się folklorem
i jego echem
wielokroć podwajanym
annałami liter —
zwierzać się kniei
przesiąkniętej aromatem prochu
i pachnącej wspomnieniami
wiekopomnymi —
patrzeć na zegar
wielkiego Stefana.

Starachowice

Muzeum w Radomiu *Fot. J. Szepetowski*

NIE było nas, był las... Do niedawna sądzono, że ów przysłowiowy las pokrywał ziemię radomską przez cały okres wczesnego średniowiecza, obecnie jednak te sądy rozsypały się razem z piaskiem poruszonym łopatą archeologa. Było to sześć lat temu...

Do roku 1959 ziemia radomska była krainą dziewiczą, nietkniętą przez łopaty archeologów. Równie dziewicza i nieznana była jej najdawniejsza przeszłość. Obecnie, po sześciu latach badań i prac archeologicznych, wiadomo już, że spokój buszujących w kniejach misiów zastał zakłócony około 1200 lat temu, kiedy nasi wędrujący, przypuszczalnie z południa, prapradziadowie przystąpili do karczowania puszczy i zakładania osad. W wieku dziewiątym dzisiejsza ziemia radomska była gęsto zaludniona, a w miejscu, gdzie dziś — na ogródkach działkowych Radomia — rosną ogórki i cebule, wznosiła się duża osada. Nie wiadomo, jaki los ją spotkał, w każdym razie około stu lat później na jej szczątkach stanęła inna, funkcjonalnie już ściśle związana z położonym na pobliskim wzgórzu warownym grodem. W pobliskich puszczach rozwijało się coraz więcej osad. Ich mieszkańcy — jako że już wówczas z nawozem były kłopoty — po wyjałowieniu gleby przenosili się na inne miejsce, a poprzednie siedziby, w których pozostało wiele odpadków, zniszczonej ceramiki i narzędzi, znowu zarastała puszcza. Obecnie jest wiele punktów, gdzie chłopi wyorują z ziemi szczątki starej ceramiki. Miejsca te są nanoszone na mapy i będą kolejno badane.

Gród, co najmniej dwa podgrodzia — bowiem od wieku jedenastego na terenie obecnego Starego Miasta istniała osada targowa — to czyni z Radomia duży zespół osadniczy, który przypuszczalnie już na początku dwunastego wieku był kasztelanią. Zdania, że Radom [illegible] we wczesnym średniowieczu był bogatym i zasobnym ośrodkiem — potwierdza pierwsza pisana wzmianka, pochodząca z bulli papieża Hadriana IV (rok 1155) i głosząca, że z nadania księcia Sławomira miało biskupstwo wrocławskie wieś Sławno koło Radomia.

Ta właśnie data — 1155 r. — została przyjęta za datę powstania miasta. Czy to jednak nie zbytnia skromność? Ostatnie badania wskazują przecież, że cały zespół osadniczy istniał już dwa wieki wcześniej... A więc — albo tysiąclecie — albo sześćsetlecie, od daty nadania Radomowi praw miejskich...

Miasto, położone na przecięciu ważnych szlaków handlowych i mające duże znaczenie obronne, miało korzystne warunki rozwoju. Tak było do wieku czternastego, kiedy Radom podupada i traci znaczenie na rzecz miasta kazimierzowskiego, zbudowanego na północ od osady targowej. Ten nowy Radom, jeden z 28 wybudowanych w Polsce przez Kazimierza Wielkiego obiektów obronnych, otoczony murami w których obrębie mieścił się zamek królewski, ratusz i kościół farny — ma przed sobą kilka wieków świetnego rozwoju...

A stary gród? Z wyników badań można wnioskować, że na przełomie XIV i XV wieku zostaje zniszczony, a teren, na którym się znajdował — zniwelowany. Przodkowie nie zatroszczyli się o naszą ciekawość: resztkami grodu i ziemią ze wzgórza zasypali fosy, całość gładko wyrównali, a na miejscu grodu zbudowali osadę rzemieślniczą, komplikując w maksymalny sposób obecne prace archeologów. Dzieła zniszczenia dokończyło zlokalizowanie w tym samym miejscu — po upływie następnego stulecia — wielkiego cmentarzyska, a jeszcze później, w wieku XIX — rosyjskiej prochowni.

Wiesław Sadowski

POPRAWKA DO HISTORII RADOMIA

Dziewięć wieków zostało dokładnie przemieszanych z ziemią i obecnie trudno rozeznać się w znaleziskach. Jedno jest pewne — od wieku dziesiątego zachowana była ciągłość osadnicza.

Prace wykopaliskowe w Radomiu prowadzi Instytut Historii Kultury Materialnej pod naukowym kierownictwem prof. dr Witolda Hensla. Bezpośrednio pracami ekspedycji kieruje „latający" archeolog, Ewa Kieszkowska. Odkopano wiele interesujących budynków, rozwaliska pieców związanych z obróbką żelaza, fragment budynku, w którym produkowano prząśliki gliniane, dużo ceramiki, szklanych paciorków, wyrobów z kości, kamienia, żelaza i drewna, dwie ozdoby typu madziarskiego, monetę z czasów Bolesława Śmiałego i sporo innych, cennych eksponatów...

Obecnie prace wykopaliskowe zostały rozszerzone. Jedna grupa pracuje w Radomiu, druga w odległej o kilka kilometrów Koziej Górze, gdzie odkryto duże wczesnośredniowieczne cmentarzysko.

Prace prowadzi się w ciężkich warunkach. Grupa radomska kopie w glebie torfiastej, podmokłej; grupa w Koziej Górze — jakby dla odmiany — pracuje w piasku, ciągle obsuwającym się i zasypującym odkopane groby i szkielety. Mimo tych trudności archeologowie są ze swej pracy zadowoleni. Bądź co bądź odkrywają nie tylko martwe eksponaty, ale także historię tej ziemi.

Siedzibą ekspedycji jest stary, ufundowany przez Bolesława Krzywoustego, kościół św. Wacława. Oczywiście kościół nie wygląda tak okazale, jak przed wiekami, przechodził bowiem, tak jak cały Radom, wiele zmiennych kolei losów. Ostatnim jego wcieleniem były bodajże magazyny, po których pozostały we wszystkich oknach grube kraty. Wkrótce będzie on remontowany i poddany gruntownej przebudowie, która przywróci mu historyczny wygląd. Po tych zabiegach znajdzie się w nim Muzeum Archeologiczne... Eksponatów już jest sporo i będzie coraz więcej...

Czego możemy życzyć archeologom w ich dalszej pracy, wzbudzającej wielkie zainteresowanie radomian?

— Tysiąc szkieletów na tysiąclecie! — śmieje się jeden z pracujących w wykopie studentów

— Byleby dostatecznie starych — dodaje drugi...

Kartki z lat okupacji

TAJNE NAUCZANIE

W OKRESIE II wojny światowej czynna była w Lublinie konspiracyjna szkoła — II Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego. Kierownikiem tego ośrodka był późniejszy dyrektor szkoły (1944—1949) Alojzy Paciorek. Obowiązki te powierzył mu z końcem stycznia 1940 r. ówczesny kurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego, Jan Odroń. Początkowo w grę wchodziła raczej pomoc koleżeńska, ratowanie dokumentów i mienia poszczególnych szkół. Szybko jednak na pierwszym planie znalazło się tajne nauczanie. Również i ono nie miało początkowo jakiegoś zorganizowanego charakteru. W czerwcu 1940 r. nastąpiły jednak już pierwsze egzaminy.

Jesienią tego roku, po egzaminach eksternistów, w mieszkaniu A. Paciorka w Lublinie, przy ul. Konopnickiej 7, odbyło się pierwsze zebranie rady pedagogicznej tajnego ośrodka nauczania. Od tego czasu rozpoczęła się systematyczna praca. O jej rozmiarach mówi najwymowniej fakt, że przez ośrodek do lipca 1944 r. przewinęło się 246 uczniów. Poszczególne klasy (cztery gimnazjalne i dwie licealne) ukończyło 528 uczniów. Stale wzrastała liczba kompletów: od 8 w roku 1940 — do 54 w roku 1944. W tych bardzo trudnych warunkach pracowało pod kierownictwem A. Paciorka 35 nauczycieli, nie licząc jeszcze tych, którzy prowadzili zajęcia w małym wymiarze godzin. Oto nazwiska tych zasłużonych pedagogów: Władysław Adamczyk, Józef Bogucki, Anna Bulewska, ks. Andrzej Chlastawa, Paweł Gdula, Eugeniusz Gołębiowski, Stanisław Horyszewski, ks. Antoni Jaworowski, Stanisław Jedlewski, Tadeusz Kalinowski, Zygmunt Kałużyński, Teresa Kümmel, Jerzy Łopatyński, Jan Madej, Piotr Malec, ks. Piotr Mazurek, Maria Miastkowska, Roman Morawski, Barbara Mosakowska, Eugenia Pajur, Maria Pawelcowa, Janina Pliszczyńska, Hanna Rokossowska, Eugeniusz Santocki, Helena Schmidt, Adela Stawińska, ks Michał Słowikowski, Maria Strawińska, Franciszek Szabelski, Maria Szeleźniakowa, Małgorzata Szewczykówna, Jan Szurek, Kazimierz Waściszewski, Franciszka Wrońska i Bolesław Zimmer.

Ten wysiłek nie poszedł na marne. W końcu sierpnia 1944 r. ich wychowankowie zdali egzaminy wstępne. W tym czasie odbyła się również pierwsza matura dla eksternistów. Pragnąc zapoznać czytelników „Kameny" z warunkami, w jakich odbywało się tajne nauczanie w Lublinie w czasie hitlerowskiej okupacji, drukujemy fragmenty wspomnień kierownika ośrodka, Alojzego Paciorka oraz niedawno zmarłej nauczycielki biologii i geografii, Franciszki Wrońskiej. Nie jest to, oczywiście, wszystko, ponieważ zgromadzony przez Alojzego Paciorka materiał dokumentalny i wspomnieniowy liczy blisko 100 stron maszynopisu. Całość ujrzy w 1966 roku światło dzienne w postaci rozdziału przygotowywanej obecnie książki poświęconej 50-letniej działalności Gimnazjum im Hetmana Jana Zamojskiego w Lublinie.

R.

FRANCISZKA WROŃSKA

Rośliny i nerwy...

— Proszę państwa, otwieram pierwsze tajne posiedzenie Rady Pedagogicznej II Liceum i Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego.

Odtąd zaczęła się praca zorganizowana, ujęta programem. Na czele ośrodka stał Alojzy Paciorek. Wszystkie zaś ośrodki tajnego nauczania okręgu lubelskiego podlegały kuratorowi, J. Odroniowi, który wspomniane zebranie prowadził.

*

Młodzież przydzielano do odpowiednich klas na podstawie świadectw, uzyskanych promocji, lub egzaminów wstępnych. Mieszkańcy Lublina uczęszczali na lekcje grupowo po cztery — sześć osób. Młodzież z okolicy przyjeżdżała tylko od czasu do czasu na sprawdzenie wiadomości po przerobieniu zadanych jej pewnych partii materiału. Ponieważ należałam do ludzi, którym przypadło często zmieniać miejsce zamieszkania, przeważnie sama chodziłam na lekcje. Wędrówka zaczynała się od wczesnego ranka i trwała do późnego wieczora. Najgorsze dni były wówczas, gdy trzeba było pędzić co tchu z krańca na kraniec miasta, albo gdy wszystkie zakonspirowane lokale mieściły się tylko na trzecim piętrze. Nie to jednak było najbardziej przykre. Gorzej czułam się, gdy trzeba było udawać obojętną, przystawać koło wystaw sklepowych, lub wchodzić do sklepu coś kupić, ażeby wprowadzić w błąd „obserwatora".

Pewnego dnia późną jesienią grupka czterech miłych chłopców, znanych ryzykantów nie przyszła na lekcję. Minuty ciężkie, jak ołów wloką się powoli. Niepokój wzrasta. Co robić? Zaczynam obmyślać plan działania. Nagle słyszę gwałtowne stukanie do drzwi. Jak wicher wpada jeden z zakonspirowanych malców. Zdyszany i zmęczony, ale z ogromnie zadowoloną miną mówi:

— Proszę pani, lekcji dziś nie będzie. Śledzą nas. Obserwują pani dom. Wykryliśmy to i od razu daliśmy „nura". Dziewczynki z Pijarskiej też nie przyjdą. Zawiadomiliśmy je.

Przyjęłam tę wiadomość z niedowierzaniem, ale dla spokoju własnego i innych przerwałam na jakiś czas lekcje u siebie w domu.

Okazało się, że chłopiec miał rację. Zauważyłam, że co dzień o zmroku kręcił się przed domem młody człowiek w cyklistówce. Wchodził często na podwórze i pilnie obserwował moje mieszkanie. Pewnego dnia zasięgnął nawet opinii o mnie u dozorcy. I nie wiem czy opinia wypadła „pochlebnie", czy też sprzykrzyło mu się śledzenie, faktem jest jednak, że po upływie kilkunastu dni mój opiekun znikł.

*

Postawa młodzieży była nadzwyczajna. Młodzi byli tak przejęci sprawą, tak poważnie traktowali pracę, że serce rosło z radości i bez żalu oddałby człowiek za nich życie. W chwilach nieraz bardzo ciężkich i niebezpiecznych umieli się tak zachować, że zdumiewali starszych.

Lekcja biologii, grupka składa się z trzech licealistów. Siedzą dorodni chłopcy w wieku poborowym i rozpatrują zagadnienia przemiany pokoleń wśród roślin i zwierząt. Naraz słychać gwałtowne, szczekające, gardłowe dźwięki mowy niemieckiej i silne uderzenie butem we drzwi. Chłopcy chowają notatki i z całym spokojem siedzą przy stole. Ja zdrętwiałam ze strachu. Chwytam obrus i nakrywam stół. Pomoc domowa wpuszcza żandarmów. Jeden z nich staje przy drzwiach, drugi rewiduje mieszkanie. Podchodzi do chłopców, przygląda się im, zagląda do szafy, znów patrzy z wytężoną uwagą na młodych, jakby sobie coś przypominał, coś odtwarzał. W mózgu czuję ogień, a w piersiach lód. Całą siłą woli staram się utrzymać na nogach. Zdaje mi się, że mijają wieki a żandarm nie wychodzi, tylko patrzy na nas.

Wreszcie słyszę *„Aufwiedersehen"* i widzę już tylko plecy Niemca.

Okazało się, że na nasze podwórko uciekł aresztowany. Żandarmi stracili go z oczu i bezskutecznie zrewidowali cały dom. Widocznie jednak dobrze zapamiętali twarz uciekiniera, bo nawet nie zainteresowali się tym, co chłopcy u mnie robią i kim są. A chłopcy siedzieli spokojni i zrównoważeni, na pozór obojętnie wytrzymywali wzrok hitlerowca. Ja widocznie wyglądałam bardzo lojalnie, bo żandarm wyszedł i oprócz swego towarzysza nie zabrał nikogo.

Po wyjściu oprawców opuściło nas silne napięcie nerwowe. Zrozumieliśmy dokładnie, co nam groziło. Chłopcy, choć duma nie pozwalała im się do tego przyznać, byli tak wyczerpani, że nie mogli zebrać myśli. Patrzyli tępym wzrokiem przed siebie, mali i bezradni. Byłam zupełnie wykończona. Dziwna rzecz, w chwilach groźnego niebezpieczeństwa mało się myśli o sobie, obawa koncentruje się wokół młodzieży. Myślę, że to samo przeżywa oficer, prowadząc kompanię do ataku.

Innym razem rozpatruję z licealistkami jakieś zagadnienie. Ktoś puka. Wchodzi jakiś pan z teką pod pachą. Dziewczęta, udając spokój, oglądają żurnale. Jedna z nich zwraca się po chwili do mnie:

— Ciociu, wybrałyśmy tę suknię.

— Dobrze — odpowiadam krótko.

Okazało się, że pan był urzędnikiem Izby Skarbowej, więc przypuszczalnie nic nam nie groziło. Zdumiewający był jednak spokój dziewcząt. Przecież nikt z nas nie wiedział, kto to i po co przyszedł.

Przed każdą lekcją umawialiśmy się, co powiemy w razie „wsypy". Na przykład jedna grupka młodzieży kupowała buty. Zawsze miałam je w pogotowiu. Dziewczęta starsze oglądały żurnale, jedna z nich była „siostrzenicą" i zawsze jakiś materiał leżał na stole. Mniejsze dziewczynki były koleżankami córki, przyszły na jej urodziny. Chłopcy mniejsi — to koledzy syna — wymieniali znaczki.

W mieszkaniu dr Wykowskiej byliśmy przeważnie wciągani do księgi chorych i każdy z nas na coś cierpiał. Lekarka w białym fartuchu siedziała zawsze w gabinecie podczas lekcji. U p. Lisowskich stale byłam na herbatce, dziewczynki zaś w odwiedzinach u ich córki (tam uczyła się tylko grupa żeńska). U pp. Kozaków przez cały prawie dzień odbywały się lekcje i najrozmaitsze pomysły były w pogotowiu. Wszyscy wiedzieli co mają mówić w razie aresztowania. A po pewnym czasie tak się z tym zżyli, że niemal wierzyli w prawdziwość tych słów.

*

Słychać pod drzwiami jakieś szamotanie się i ciężkie oddechy. Otwieram drzwi i widzę dwóch nieletnich chłopców i olbrzymią, mocno wypchaną walizę. Jeden z chłopców jest synem kol. Chudzińskiego, drugi to mój syn.

— Co to jest — pytam.

— Książki, aresztowali dziewczynki z kompletu, a między nimi moją siostrę — odpowiada zmęczoczony Chudziński i rękawem obciera obficie spoconą twarz.

Mój syn potwierdza to poważnym kiwaniem głowy.

— Jak tylko dowiedzieliśmy się o tym, zaraz pozbieraliśmy podejrzany materiał, no i przynieśliśmy tutaj — objaśnia dalej Jurek Chudziński.

— Ledwie wciągnęliśmy ją na trzecie piętro — ciągnie Stach Wroński (mój syn), opierając się o ścianę i łapiąc oddech.

— Patrz ile tego jest. I nikt nie widział, jakeśmy to ciągnęli — ani Kaczka (policjant granatowy), *ani Zielony* (tajniak), *ani Volksdeutscherka* — z odpowiednią mimiką i wyrazem oczu kończy Stach.

Co robić? Gdzie to ukryć? Przecież to materiał kompromitujący! Nikt nie chce przyjąć. Wszyscy się boją. W domu u siebie zostawić nie mogę. Nie wiem, co powiedzą dziewczęta na zeznaniach. Może być rewizja. Ciągniemy walizę na strych. Tam pełno pożydowskich rupieci oraz modlitewnych płaszczy. Walizę wtłaczamy między stare połamane meble i naczynia. Klucz zakopujemy w piwnicy (Stryszek ten był prawie nieużywany — mały i zagracony).

Dostałam rozkaz wymarszu z domu. Z małą niepozorną walizeczką wyszłam na miasto. Gdzie się udać? Oczywiście do Paciorków.

Wróciłam zaraz na drugi dzień. Rewizji nie było. Sprawę załegnano znanym „środkiem leczniczym" Książki zwróciliśmy właścicielce. I dziwna rzecz — taką olbrzymią walizę nieśli spory kawałek drogi i wciągali na trzecie piętro dwaj mali chłopcy, a z powrotem nie mogliśmy jej ruszyć z miejsca. Rozłożyliśmy ciężar na trzy partie i dopiero wówczas książki się przeniosło.

O ZMIERZCHU jesiennego popołudnia 1940 r. co chwila ktoś szybko przebiega ulicą Konopnicką i znika w bramie domu nr 7. Tam, w mieszkaniu nr 3 na pierwszym piętrze, zebrała się gromadka ludzi różnego wieku. Zasłonięte okna, sposób zachowania się zebranych i dyskusja prowadzona przyciszonym głosem świadczyły, że wszyscy zgromadzili się tu dla ważnych spraw.

Na znak dany przez pana domu przeszliśmy do pokoju, w którym ustawiony był stolik z kartami do bridge'a. Gdy zajęto miejsca, starszy, poważny pan o myślącej, skupionej twarzy, zagaił posiedzenie tymi słowy:

ALOJZY PACIOREK

Egzaminy pod Majdankiem

UTKWIŁY mi głęboko w pamięci chwile spędzone w zagrodzie gospodarza Kozła w Krępcu koło Lublina. Egzaminowaliśmy młodzież w jego domu i u sąsiadów.

Komisja egzaminacyjna składała się z kilku osób. Jeździliśmy furmankami. Kurator Odroń i ja wybieraliśmy się w teren najczęściej w towarzystwie żon. Tak było bezpieczniej, gdyż w ten sposób stwarzało się pozory wycieczki na wieś.

Do Krępca trzeba było jednak przejeżdżać obok obozu koncentracyjnego na Majdanku. To było najgorsze. Pewnego razu, gdy furmanka skręcała w boczną drogę prowadzącą do zagrody Kozła, poczuliśmy nieprzyjemny i trudny do zniesienia zapach. Okazało się, że Niemcy spalali w pobliżu sterty zwłok zagazowanych ludzi, których krematoria w Majdanku przyjąć już nie były w stanie. Wiele o tym opowiadali nam mieszkańcy Krępca. Przykry zapach docierał do nas przez cały dzień.

Zmienił się nasz nastrój po wejściu do domu Kozła, rolnika niezwykle miłego i o dużej kulturze. Wszyscy byli odświętnie ubrani, a dzień był powszedni. Uroczysty nastrój i serdeczna gościna bardzo nas rozczulały, ale także krępowały. Rodzice i młodzież okazywali w ten sposób wdzięczność za trudy, jakie dla nich ponosimy. Nie pomagały tłumaczenia, że spełniamy tylko swój obowiązek.

Egzaminy przebiegały sprawnie, ale dnie takie były zawsze pracowite, zarówno dla młodzieży, jak i nauczycieli.

Kiedyś egzaminy przedłużyły się i ledwo zdążyliśmy przyjechać do Lublina przed godziną policyjną, a tu trzeba było jeszcze odwieźć kuratora na Czechów, gdzie mieszkał. Bocznymi już drogami po godzinie policyjnej dostaliśmy się z żoną do domu (ul. Szewska 3). Potem długo martwiliśmy się, czy furmanka wróciła szczęśliwie do Krępca, musiała bowiem znowu przejeżdżać obok Majdanka.

*

Kiedyś pod wieczór o umówionej godzinie znalazłem się w Milejowie. Dojechałem pociągiem do Jaszkowa, kawałek drogi przeszedłem piechotą. Ale oto zawód. Nikt nie otworzył drzwi, w które nawet mocno stukałem. I znowu pytanie: co robić? Udałem się szybko do znajomego mi dobrze sekretarza zarządu gminnego, J. Jedruszaka, z prośbą o pomoc. Chodziło już teraz tylko o nocleg.

Wnet uradziliśmy, że syn sekretarza, Tadek, mały, ale bardzo rezolutny — zaprowadzi mnie już po godzinie policyjnej na kwaterę przygotowaną dla mnie, ale nie w domu, do którego dobijałem się przed chwilą.

Przeszliśmy z chłopcem przez puste ulice miasteczka, mijając niemieckie posterunki. Nikt nas nie zaczepił. Zapadła noc.

Po przejściu długiego ogrodu, w którym ujadały psy spuszczone z łańcucha, dotarliśmy do domu, gdzie na mnie czekano. Dość długo jednak dobijaliśmy się, nim nas wpuszczono do domu. Słyszeliśmy tupot nóg i przerażone szepty... chować, chować. Domownicy byli przekonani, że dobijają się do nich „bandyci". W ten wieczór niepokoiłem się już tylko, jak mój mały przewodnik, Tadek, dobrnął do swojego domu.

Następnego dnia przywitała mnie zdumiona p. Niekraszowa, przekonana, że według umówionego terminu nie przyjechałem do Milejowa, by przeprowadzić egzaminy uczniów z kompletów, które w tej miejscowości organizowała.

Po przybyciu nauczycieli egzaminowaliśmy młodzież w ogródku na świeżym powietrzu, w sytuacji dość paradoksalnej. Egzamin odbywał się na oczach Niemców, którzy kwaterowali w pobliskiej zagrodzie. Cały czas obserwowaliśmy kręcących się po podwórzu hitlerowskich żołnierzy. Byliśmy bezpieczeni pracują pod osłoną... Wehrmachtu.

*

Nocowałem na plebanii w Kamionce koło Lubartowa. Przebywałem tam, by przeprowadzić jakieś egzaminy. Około północy zbudził ludzi silny terkot karabinów maszynowych. W pobliżu toczyła się jakaś walka i wreszcie wydawało się, że jej front przesuwa się przez ogród otaczający plebanię. Strzelanina trwała dość długo, chyba dwie godziny. Nie mogliśmy się zorientować, co dzieje się na zewnątrz. Domyślaliśmy się trochę, ale naszych przypuszczeń nie można było na razie potwierdzić.

Ubrani rozważaliśmy sposoby ratowania się i uniknięcia konsekwencji za to, co stało się w nocy. Wtem strzelanina ustała i zapanowała niczym nie zmącona cisza. Wyszliśmy ostrożnie z domu, by zbadać teren.

Dopiero nad ranem, gdy zaczęło świtać, dowiedzieliśmy się, że partyzanci szturmowali bez rezultatu silniej umocniony niemiecki punkt obserwacyjny, zainstalowany w budynku położonym blisko plebanii.

Natychmiast musiałem opuścić Kamionkę, gdyż ze strony Niemców należało spodziewać się represji, byłem przecież obcy na tym terenie. Tym razem hitlerowcy zaniechali jednak odwetu. Jechałem do Lublina furmanką, bocznymi drogami i przez gęste lasy.

*

W połowie kwietnia 1944 r., w czwartek, wróciłem do domu około godziny piątej po południu z egzaminów, jakie przeprowadzaliśmy we wsi Niemce. A tu na progu okropna wiadomość. Po prostu „wsypa". Dwaj „schulraci" nakryli komplet u kierownika szkoły podstawowej, Jana Szurka, przy ul. Lubartowskiej 24. Ochłonąłem nieco, gdy dowiedziałem się, że „zimna krew" i szybkie działanie kol. Szurka w dużej już mierze uratowały sytuację.

„Schulraci", wychodząc ze szkoły, zabrali ze sobą dwie dziewczynki z kompletu. Kol. Szurek zorientował się szybko, że pójdą zaraz do nauczycieli według nazwisk i adresów wskazanych im przez uczennice. Przede wszystkim pójdą do kol. Santockiego na ul. Niecałą. Wówczas w towarzystwie jednej z nauczycielek wybiegł na ulicę i razem wsiedli do dorożki stojącej na postoju przed szkołą. Okrężną drogą pojechali uprzedzić nauczycieli o grożącym im niebezpieczeństwie. Kol. Santockiego spotkali na ulicy, gdy wracał z ubezpieczalni do domu. „Schulraci" rozmawiali tylko z p. Miastkowską, lektorką je-

(Dokończenie na str. 9)

TADEUSZ STANISZ

Leon Kruczkowski i Ziemia Rzeszowska

WIELKI pisarz jest własnością całego narodu. Ale wiadomo, że Kielecczyzna wywarła potężny, nieprzemijający wpływ na twórczość Żeromskiego, że Morcinek jest piewcą Śląska, że Wyspiańskiego najłatwiej sobie wyobrazić na tle Krakowa. Czy trzeba jeszcze wspomnieć o tęsknocie Mickiewicza do „kraju lat dziecinnych", czy o związkach Kazimierza Tetmajera i Orkana z Podhalem?

Jest to więc fakt niewątpliwy, że ziemia, region, gdzie pisarz się wychowywał, gdzie dłużej mieszkał, zostawiają niezatarte ślady w jego twórczości i zainteresowaniach. Leon Kruczkowski był rdzennym krakowianinem. W Krakowie się urodził, tam się kształcił i spędził wiele lat młodości. Ale w czasie parokrotnych dłuższych rozmów, jakie miałem możność z nim prowadzić, sam powiedział, że ojciec jego przybył do Krakowa ze wsi Targowiska w powiecie krośnieńskim. Kto ciekawy, może sprawdzić, czy dotychczas w tej wsi spotyka się mieszkańców o tym samym nazwisku.

Ale inne sprawy są istotniejsze dla określenia związków pisarza z Ziemią Rzeszowską. Kruczkowski był, jak wiadomo, chemikiem. Talent pisarski i pasja publicystyczna nie pozwoliły mu na stałe poświęcić się temu zawodowi. Niemniej warto zanotować, że przyszły pisarz pracował jakiś czas jako chemik w Chmielowie koło Tarnobrzega, w tamtejszych zakładach ceramicznych, a więc w okolicy, gdzie nie wygasły jeszcze tradycje niedawnej Republiki Tarnobrzeskiej.

Tam rozmawiał, obserwował i myślał; na pewno umiał sobie wyrobić sąd o polityczno-społecznych stosunkach na rozdrobnionej wsi galicyjskiej. Równolegle i później — po powrocie do Krakowa uważnie studiował pamiętniki chłopskie. Przyszły autor powieści „Pawie pióra", wydanej w 1935 r., przeczytał pamiętnik Jana Słomki, wójta z Dzikowa pod Tarnobrzegiem, i wydany w roku 1932 pamiętnik Franciszka Magrysia z Handzlówki w powiecie łańcuckim. Warto przypomnieć, że w opisie „wyborów galicyjskich" dużo materiału dał Kruczkowskiemu pamiętnik Magrysia; natomiast nazwiska Sadzakułów i Piętaków występujące w tej powieści, nazwa miejscowości „Chmielec" — to parę zewnętrznych oznak tego niewątpliwego faktu, że pobyt w Chmielowie nie pozostał bez wpływu na powstanie „Pawich piór", książki, która trafnie ukazuje klasowy układ sił społecznych na wsi galicyjskiej w przededniu pierwszej wojny światowej. Tę wieś poznał Kruczkowski już w Chmielowie.

Stulecie Powstania Listopadowego uczcił pisarz w sposób niebanalny — napisał „Kordiana i Chama". Oddźwięk był szybki — poczytność niebywała. W przeróbce scenicznej powieść trafiła do teatru, nie tylko zawodowego, wielkomiejskiego, ale i do teatru chłopskiego. Gdzie? W Markowej, w powiecie przeworskim (dziś łańcuckim), niedaleko Solarzowego uniwersytetu ludowego w Gaci — młodzież wiejska odegrała sceny „Kordiana i Chama". Wieś, którą raczono często repertuarem teatralnym o poziomie „Żyda w beczce" lub „Czaru munduru", ujrzała coś, co zmuszało do myślenia — chłopską prawdę.

Ponad 600 ludzi przybyło na to niecodzienne przedstawienie— nie tylko z Markowej, ale i z okolicznych wsi. Nikt nie opuścił ciasnej sali do końca przedstawienia, które trwało do godziny 12 w nocy. A potem ruszył chłopski teatr z Markowej do Przemyśla. W dużym Domu Robotniczym (dziś KP PZPR) zjawiła się publiczność, ale nie ta, która szuka w teatrze wyłącznie rozrywki — zjawił się świat robotniczy Przemyśla. Dzisiaj nie zawsze młodzi są w stanie odczuć to, co działo się w sercach słuchaczy i aktorów chłopskich. Chłopski teatr zjechał do Przemyśla nie koleją czy autobusem, ale na 8 chłopskich furmankach, bez subwencji państwowej, bez diet i delegacji służbowych. Był to — pamiętajmy — rok 1937.

Kruczkowski był, oczywiście, i w Markowej i w Przemyślu; przemawiał do widzów, udzielał aktorom rad i wskazówek. Po wyzwoleniu pisarz nie zrywa kontaktów z Rzeszowszczyzną; przyjeżdża często do województwa rzeszowskiego, które w latach pięćdziesiątych obdarzyło go mandatem poselskim do Sejmu PRL. Interesował się różnymi zagadnieniami; pamiętam, jak pytał mnie raz szczegółowo o będącą wówczas w projekcie budowę linii kolejowej Rzeszów — Kolbuszowa. Jako prezes Związku Literatów Polskich chciał bliżej zapoznać się z zagadnieniami pisarzy, pochodzących z województwa rzeszowskiego. Pisał wtedy: „Sam nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że aż tylu wybitnych czy dobrze zapowiadających się postaci naszej literatury pochodzi z województwa rzeszowskiego". A było to w 1953 r. kiedy wielu młodych nie zdążyło jeszcze zadebiutować.

W 5 lat później, gdy pisałem mu o projekcie zjazdu pisarzy Rzeszowszczyzny, odpowiedział: „Projektowany zjazd pisarzy pochodzeniem lub określoną pracą związanych z Rzeszowszczyzną, uważam osobiście za pomysł nie tylko piękny, ale i rokujący możliwość pewnych pomyślnych skutków kulturalnych. Jednym z takich skutków powinno być trwalsze powiązanie tych pisarzy z życiem kulturalnym regionu, którego dość wyjątkowe w tym względzie tradycje mają swój wyraz w tak obfitej od wielu lat „wydajności" talentów, wywodzących się „z tamtejszej gleby". Zjazd taki urządziła Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie w r. 1961, a jego wpływ był niewątpliwie ożywczy i kulturalnie płodny.

Gdy w latach 1955 i 1956 ukazało się kilka numerów „Życia Kulturalnego Ziemi Rzeszowskiej" Kruczkowski uznał tę inicjatywę za bardzo słuszną i w liście do redakcji ofiarował pomoc w praktycznych staraniach o utrzymanie pisma. Sam nadesłał artykuł, który oczywiście wydrukowano. „Piszcie, w czym mógłbym wam być pomocny" — donosił.

Interesował się również możliwościami powstania w Rzeszowie wyższej uczelni, pytał o to w związku z toczącą się w 1954 r. dyskusją na ten temat na łamach „Nowin Rzeszowskich". Gdy w roku 1960 przygotowywano wystawę „80 lat ruchu amatorskiego w województwie rzeszowskim", autor „Kordiana i Chama" konsultował scenariusz nie szczędząc życzliwych rad i wskazówek. Nie mógł przybyć na jej otwarcie z powodu choroby, nadesłał jednak serdeczny telegram. Wiele uwagi okazywał pisarz działalności Teatru Ziemi Rzeszowskiej — Teatru im. W. Siemaszkowej.

Jeżeli w pogrzebie Kruczkowskiego uczestniczyła delegacja województwa rzeszowskiego — nie była to zwykła formalność. Był to wyraz głębokiej czci dla pisarza, który znał naszą ziemię od Chmielowa i Tarnobrzega do Markowej i Przemyśla, znał i czuł jej potrzeby. Chciałoby się powtórzyć za Słowackim „Żyłem z wami"...

Na lubelskiej scenie

»Damy i huzary«

DAMY i huzary" nie wymagają ani komentarza, ani rekomendacji — nie ma chyba w Polsce Ludowej teatru zawodowego, który by nie sięgnął po uciesznią komediofarsę Fredry w jakimś momencie awaryjnym, przez wzgląd na kasę albo dla nabrania oddechu pomiędzy pozycjami „ambitnymi". Więcej: była ta pozycja szlagierem amatorskich zespołów teatralnych jeszcze niezbyt dawno, zanim ich kierownicy nie zagustowali w Mrożku czy Anouilhu. Co tu dużo gadać, krotochwila jest napisana zręcznie, bo nie przez młodziutkiego autora, jak informuje sympatyczna recenzentka jednego z pism lubelskich w poczciwym odruchu „usprawiedliwienia" pozycji repertuarowej zasłużonego Teatru im. J. Osterwy — tylko przez pisarza, który liczył sobie w r. 1825 lat trzydzieści dwa i miał w dorobku m. in. komedię z prawdziwego zdarzenia „Pan Geldhab" czy arcydzieło obyczajowo-psychologiczne „Mąż i żona".

Toteż każdy widzi, że „Damy i huzary" to nie żadna próba sił, lecz żart sceniczny ręką mistrza nakreślony w chwili dobrego humoru, w Bieńkowej Wiszni, gdzie gospodarzy po powrocie z Włoch, wymigawszy się od zaplanowanego przez rodzinę ożenku z księżniczką rosyjską, dochowując wierności kochanej już dziesiąty rok Zofii Skarbkowej, której mu ojce... z pałacu — nie chcą dać.

Znany kompleks pisarski Fredry — wywoływanie w widzu abominacji do niedopasowanych małżeństw ma podłoże w owym jego osobistym, nieszczęsnym mimo wzajemności, kochaniu. Już samo pokrzyżowanie rodzinnych projektów matrymonialnych było w jego położeniu sukcesem (zbliża się r. 1826, kiedy rozpoczną się kroki rozwodowe, za zgodą męża Zofii, starszego od niej o dwadzieścia kilka lat hr. Skarbka, wybitnego mecenasa, twórcy fundacji Skarbkowskiej i fundatora teatru polskiego we Lwowie). Nic też dziwnego, że gdy do doraźnej szansy w sprawach sercowych dołączyła się passa twórcza, mógł Fredro i sprawę swatania Zosi z „Dam i huzarów" rozegrać w tonacji durowej.

Ale oto wdając się w drobne korekty napisałam nie chcący niejako komentarzyk do „Dam i huzarów", a chodziło mi przecież o inną rzecz — o wątpliwość, czy owe „Damy i huzary", przy całej maestrii formalnej w zakresie swego gatunku dramaturgicznego, są jednak akurat wymarzoną pozycją na otwarcie sezonu teatralnego i na jeden z „akcentów" udziału Lublina w ogólnokrajowych obchodach 200-lecia sceny narodowej (znów cytuję wspomnianą miłą recenzentkę).

Mnie tam w danym momencie huzarski *„uśmiech"* Teatru Osterwy nie nastraja *„pogodnie do wszystkiego, co jeszcze nastąpi"*. Wręcz przeciwnie, kiedy usiłuje się zasugerować widzowi poprzez program, jakoby się wróciło do „Dam i huzarów" dlatego, że trzeba przypomnieć i pokazać sztukę *„jak się w muzeum pokazuje drogocenne klejnoty"* bo „to tym wszystkim — zachłystuje się zachwytem komentator — *mamy do czynienia z drogocennym klejnotem literatury polskiej"*.

Lecz skoro teatr ustawił się na razie z „Damami i huzarami" frontem do głębokiego terenu, a bardziej wyrobionego widza nie resuje się tylko przyrzeczenia, nie pozostaje więc nic innego, jak odłożyć do czasu ogólniejszą ocenę sytuacji i koniunktury.

Powiedzmyż natomiast słówko o wykonaniu wystawionej sztuki.

Na szczęście, popularny nasz aktor **Aleksander Aleksy**, reżyser komediofarsy, nie przelał się „muzealnym" nastawieniem programu. Spektakl jest pełen werwy, tempo prestissimo, można nie tylko się „uśmiechać", ale wręcz ryczeć ze śmiechu. Czyż tedy nie byłoby wnurtną niewdzięcznością czepiania się tej lub innej niedopracowanej sytuacji. Kostiumy dam cieszą kształtem i barwą, dekoracja **Jerzego Torończyka** daje złudzenie przytulnego dworku, aktorzy czują się w rolach swobodnie. Na czoło obsady wysuwają się — **Nina Czerska**, obdarzająca starą panną Aniele żywiołowym, a zarazem kunsztownym komizmem, i sam **Aleksy**, który odniósł zasłużony triumf jako krzepki, dobrotliwy i niezbyt domyślny Major. Dzielnie mu sekundował **Włodzimierz Wiśniewski**, choć w gruncie rzeczy Rotmistrz jest u Fredry bledszym wariantem Majora. **Stanisław Olejarnik**, Kapelan, był ze swoim nieśmiałym „nie uchodzi, nie uchodzi" — w miarę zaangażowany w koleżeńskich spiskach huzarskich, a jednocześnie rozbrajająco franciszkański; panie **Halina Kamińska** (Orgonowa) i **Jadwiga Jarczewska** (Dyndalska) przyczyniły się gdzie trzeba do wzbogacenia humoru, skutecznie bawił **Zdzisław Winiarczyk** (Grzegorz), także **Maciej Pelaski** (Rembo) i miłe prezentowały się zgrabne pokojóweczki, a najbardziej rezolutną Fruzią **(Elżbieta Świecicka)** na czele.

Romantyczna para: Porucznik **(Kazimierz Siedlecki)** i Zofia **(Joanna Biesiada)** — budziła w widzu rzewne uczucia w stopniu, na jaki go dzisiaj stać.

Tyle o otwarciu sezonu 1965/66 w Państwowym Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie.

M. B.-R.

CECYLIA BŁOŃSKA

Siarkowy jubileusz

JEST rzeczą ogólnie znaną, że na terenie tarnobrzeskiego zagłębia badania geologiczne w poszukiwaniu za siarkowym kruszcem prowadzone były przed II wojną światową, w roku 1937. O tym jednakże, że polska siarka ma ponad półtysiączną (konkretnie 550 lat) tradycję, wiedzą już raczej naukowcy i, oczywiście, mieszkańcy tych ziem z jakimi „siarkowe" dzieje bezpośrednio są związane.

Na pamiątkowym medalu, wydanym z okazji XXXVIII Zjazdu Polskiego Towarzystwa Geologicznego, który nie tak dawno obradował w Tarnobrzegu, w siarce połyskującej niemal jak złoto, pod emblematem siarkowego górnictwa wytłoczono daty 1415—1965, wiążąc je napisem „550 lat". Gdy zaś ów medal ofiarował uczestnikom konferencji prof. dr Stanisław Pawłowski, zwany ojcem polskiej siarki, okolicznościowa pamiątka szczególnej nabierała rangi.

Zjazd pozostawił po sobie bogatą literaturę: ponad 170 stronic druku liczący *„Przewodnik Zjazdu"* z zespołem około 20 prac, *„Rocznik Polskiego Towarzystwa Geologicznego"* w całości poświęcony prof. dr Edwardowi Passendorferowi z racji 45-lecia jego pracy naukowej, serię wydawnictw specjalistycznych itp. Ukazał się też, całkowicie wypełniony aktualną problematyką, numer *„Siarki"* — zakładowej gazety Komitetu Fabrycznego Partii Kopalń i Zakładów Przetwórczych Siarki, gdzie wielu pionierów tarnobrzeskiego zagłębia opublikowało wspomnienia.

W artykule pt. *„Zanim Tarnobrzeg wzbogacił się i odmłodniał"* — prof. Pawłowski przypomina: *„...Pierwsze samodzielne badania nowoczesną aparaturą prowadziłem w okolicy Sandomierza i Tarnobrzega w roku 1937, kontynuowałem je z całą systematycznością po wojnie, opracowując nieznane elementy charakterystyki geologicznej zakrytych części Gór Świętokrzyskich i ich wschodniego przedłużenia. Mój zespół był chyba jednym z wyjątków, który w okresie prac badawczych nowoczesną aparaturę woził... jednokonną dorożką po bezdrożach i rozlewiskach Wrzaw, Trześni, Gorzyc i Sobowa, którędy wówczas żaden samochód nie odważył się jechać, a siwy, stary koń dorożkarski prychał, wzdrygając się przed kałużami i topieliskami. Dopiero za nami i w kilka lat po naszej robocie poprawiły się drogi, budowano asfaltowe szosy"*.

W tymże numerze *„Siarki"*, mgr B. Kubica jeden z pierwszych geologów tarnobrzeskiej kopalni, już z pozycji kronikarza, opisał *„Nasze zaloty do księżniczki siarki"*.

I siarka miała swoich gwarków

Interesujące nie tylko dla górników są *„Notatki z historii kopalnictwa siarkowego w Polsce"* Bolesława Kubicy i Tadeusza Osmólskiego, drukowane w *„Przewodniku"*. Wynika z nich, że w Polsce istniały cztery historyczne ośrodki produkcji siarki: krakowski, kielecki, śląski, oraz opolski. Najstarszym z nich był ośrodek krakowski: tam też, w Swoszowicach, rozpoczęła pracę pierwsza w dziejach Polski kopalnia siarki. Historyczny dokument — pochodzący z kancelarii królewskiej z około 1415 r. wydany przez Władysława Jagiełłę — daje początek tradycji kopalnictwa siarkowego.

W cytowanej przez autorów pracy J. Pazdura nt. *„Górnictwo siarki i innych surowców chemicznych"*, szerzej opisani są krakowscy mieszczanie, którzy byli założycielami gwarectwa siarkowego w Swoszowicach. W porównaniu zaś z nowoczesnymi zespołami gigantycznych częstokroć urządzeń i zmechanizowanym transportem tarnobrzeskiego zagłębia, posmaku ciekawej a-

negdoty nabiera relacja o metodach ówczesnego transportu: oto w r. 1419 pierwsi gwarkowie zawarli umowę z garncarzem Janem z Żyrkowic, który miał im regularnie dostarczać... naczynia o pojemności jednego cetnara siarki. (Ale już w wieku XVIII w rejonie Swoszowic istniało około 600 zarejestrowanych zwałów kopalniczych, działały trzy przedsiębiorstwa górnicze, zaś na początku XIX wieku zainstalowano maszynę parową, wprawiającą w ruch odwadniające pompy. Swoszowickie złoża czynne były około pół tysiąca lat, zaspokajając w okresie największego wydobycia, w drugiej połowie ubiegłego wieku, około 90 proc zapotrzebowania na siarkę całej ówczesnej Austrii).

Z cytowanych przez Kubicę i Osmólskiego obliczeń wynika, że w latach 1415—1921 całkowita produkcja siarki nie przekroczyła w Polsce 200 tys. ton. W tarnobrzeskim zagłębiu natomiast, od r. 1957 do 1963 r. wyprodukowano ponad 800 tysięcy ton siarki!

Zjazd, obok tak bogatej informacji historycznej, poświęcony był przede wszystkim wynikom najnowszych badań geologicznych obszaru od Chmielnika do Grębowa — aktualnego „królestwa" polskiej siarki.

Gwałtowne przeobrażenia, jakie stały się udziałem tego rejonu, pasjonują nie tylko geologów, specjalistów z dziedziny techniki; powiat często jest przedmiotem badań ekonomicznych, demograficznych, socjalnych. Mgr. Jan Siekierski z Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie prowadził prace naukowe dotyczące bilansu dochodów i wydatków ludności zagłębia w latach 1957—1962. Wykazały one znaczny, wzrost zarobków, znamienne przegrupowania społeczne wynikłe z awansu, niewątpliwy wzrost zamożności.

O minimalne bodaj warunki egzystencji, o prawo do chleba i oświaty dla ludu tej ziemi, walczyli ongiś radykalni działacze; pamiętne wiece *„Republiki Tarnobrzeskiej"* odbywały się w Tarnobrzegu przed pomnikiem Bartosza Głowackiego.

Obecnie obszerny, czytelny fragment tego okresu dziejów, bogato ilustrowany fotogramami, fotokopiami wystąpień organizatora *„Republiki Tarnobrzeskiej"* Tomasza Dąbala stanowi część stałej ekspozycji pt.: *„Ruch rewolucyjny na Rzeszowszczyźnie"*, zorganizowanej przez Referat Historii Partii w salach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie.

O czym zapomniano?

W dzień powszedni w stronę Tarnobrzega podążają dziesiątki autobusów, dowożąc pracowników z odleglejszych wiosek.

— *Niestety, wśród rozmaitych pożytecznych badań, jakimi objęto nasz region, przeoczono jakoś problem tak oczywisty, jak sporządzenie zwyczajnego bilansu pracowników dojeżdżających i wynikające zeń proporcje w zaopatrzeniu, które dotychczas nie są uwzględniane* — opowiada jeden z pionierów główny inżynier kopalni, Orzechowski.

Z tą sprawą, zdawałoby się całkowicie prostą, załatwioną już raczej dla pobliskiej Stalowej Woli, Nowej Deby i innych przemysłowych ośrodków Rzeszowszczyzny, górnicy siarki występują dość często, stwierdzając równocześnie, że w dziedzinie usług kulturalnych, występów reprezentacyjnych zespołów, także nie są jeszcze odpowiednio traktowani.

Szczęśliwie ma kto zabiegać o wielkie i powszednie sprawy zaległe. M. in. w aktualnej kadencji tarnobrzeski kombinat reprezentuje w Sejmie PRL młody, energiczny sekretarz Komitetu Zakładowego partii, Adolf Książkiewicz. Przedstawicielem polskiej geologii, tak bardzo z siarką powiązanej, jest poseł prof. Pawłowski.

SERGIUSZ JESIENIN

W 70 rocznicę urodzin

◆◆◆ Autobiografia ◆◆◆

URODZIŁEM się w 1895 r. 4 października. Syn chłopa gub. riazańskiej, pow. riazańskiego, ze wsi Konstantynowa. Dzieciństwo upłynęło wśród pól i stepów.

Rosłem pod opieką babki i dziada.

Babka była religijna, ciągała mnie po klasztorach. W domu zbierała wszystkich kaleków, którzy śpiewają po wsiach rosyjskie pieśni duchowne od Łazarza do Mikoły. Byłem łobuziakiem i chłopcem nieposłusznym. Lubiłem się bić. Dziad czasami sam namawiał do bójki, żebym był silniejszy.

Wiersze zacząłem pisać wcześnie. Nastręczała mi sposobność babka. Opowiadała bajki. Niektóre bajki, mające zły koniec, nie podobały mi się i przerabiałem je na swój sposób. Wiersze zacząłem pisać naśladując czastuszki. W Boga wierzyłem mało. Do cerkwi chodzić nie lubiłem (...) Uczyłem się w zamkniętej szkole nauczycielskiej. W domu chciano, bym został nauczycielem na wsi.

Kiedy mnie odwieziono do szkoły, strasznie tęskniłem za babką i kiedyś uciekłem do domu, robiąc 100 z górą wiorst piechotą.

W domu, nawymyślano mi i odwieziono z powrotem.

Po szkole od 16 do 17 roku mieszkałem na wsi. Mając 17 lat wyjechałem do Moskwy i zapisałem się na Uniwersytet Szaniawskiego jako wolny słuchacz. Mając 19 lat w drodze do wuja w Rewiu trafiłem do Petersburga. Odwiedziłem Błoka. Błok zetknął mnie z Gorodeckim, a Gorodecki z Klujewem. Wiersze moje zrobiły duże wrażenie.

Najlepsze ówczesne (1915) czasopisma zaczęły mnie drukować, a jesienią (1915) ukazała się moja pierwsza książka „Radunica". Pisano o niej wiele. Wszyscy jednogłośnie przyznawali mi talent.

Wiedziałem o tym lepiej od innych.

Po „Radunicy" wyszedł „Błękitnik", „Przemienienie", „Wiejskie godzinki", „Klucze Marii", „Trieriadnica", „Spowiedź chuligana" i „Moskwa karczemna".

Jestem krańcowym indywidualistą. Ideowo stoję na platformie radzieckiej.

— — —

W roku 1916 powołano mnie do służby wojskowej. Dzięki pewnej protekcji pułkownika Łomana, adiutanta cesarzowej, uzyskałem liczne ulgi. Mieszkałem w Carskim niedaleko Razumnika Iwanowa.

Na prośbę Łomana czytałem kiedyś wiersze przed cesarzową. Po przeczytaniu moich wierszy orzekła, że wiersze moje są ładne, ale bardzo smutne. Odpowiedziałem jej, że taka jest cała Rosja. Kładłem to na karb nędzy, klimatu itd.

Rewolucja zastała mnie na froncie, w jednym z karnych batalionów, dokąd trafiłem za to, że odmówiłem napisania wierszy na cześć cara. Odmówiłem radząc się i szukając oparcia w Iwanowie-Razumniku.

Podczas rewolucji samowolnie porzuciłem armię Kiereńskiego i ukrywając się jako dezerter pracowałem z eserami, ale nie w charakterze partyjnego, tylko — poety.

Po rozłamie w partii przyłączyłem się do lewej grupy i w październiku należałem do jej bojowej drużyny.

Wraz z władzą radziecką opuściłem Piotrogród.

W Moskwie 18 roku spotkałem się z Marienhofem, Szerszeniewiczem i Iwniewem.

Dojrzewająca w nas potrzeba zastosowania w życiu siły obrazu zmusiła nas do ogłoszenia manifestu imażynistów. Byliśmy inicjatorami nowego okresu w erze sztuki i wypadło nam toczyć długą walkę.

W czasie naszej walki przemianowaliśmy ulice, nazywając je swoimi nazwiskami i zamalowaliśmy klasztor Męki Pańskiej słowami swoich wierszy.

W 19—20—21 (roku) jeździłem po Rosji: Murmań, Sołowki, Archangielsk, Turkiestan, stepy Kirgiskie, Kaukaz, Persja, Ukraina i Krym. W 22 roku poleciałem samolotem do Królewca. Objeździłem całą Europę i Amerykę Północną. Cieszę się najbardziej ze wszystkiego, że wróciłem do Kraju Rad.

Co będzie dalej, zobaczymy.

1923

List do kobiety

Pamiętasz,
Na pewno pamiętasz dobrze,
Jak stałem
Oparty o ścianę — z boku;
W twarz mi rzucałaś jakieś słowa ostre
Nerwowym krokiem
Przemierzając pokój.

Mówiłaś:
Rozstać się już pora,
Że cię zmęczyło
Życie me szaleńcze;
Że chciałabyś rozpocząć znów od nowa,
A mój los na dół
Toczy się zawzięcie.

Kochana!
Tyś mnie nie kochała,
I nie wiedziałaś, że w tym ludzkim tłumie
Byłem jak szkapa — zmęczona, zagnana
Spięta ostrogą przez jeźdźca zbyt dumnie.

I nie wiedziałaś,
Że ja w wiecznym dymie,
W życiu przez burze przewracanym ciągle
Dlatego męczę się, że nie rozumiem
Dokąd fatalizm zdarzeń nas zaciągnie.

Gdy blisko głowy
Nie spojrzy się w twarz,
Najwięcej widzi się poprzez rozstanie.
I kiedy kipi morska gładź
Okręt w żałosnym bywa stanie.

Ziemia to okręt!
Lecz ktoś tam nagle
Goniący sławę, nowe życie
Skierował z majestatem żagle
Prosto w głąb burz i nawałnice.

Ale kto z nas na tym pokładzie dużym
Nie rzygał, nie przewracał się, nie psioczył?
Mało tych z doświadczeniem w duszy.
To kołysanie wytrzymali mocni.
Wtedy i ja
W tym szumie dzikim
Dojrzale świadom swej roboty
Na dno okrętu zszedłem chyłkiem.

Było to dno
Rosyjską karczmą.
Nad szklanką więc schyliłem głowę
Żeby nie cierpiąc tu na darmo
W pijanym czadzie
Zginąć podle.

Kochana!
Wiem, męczyłem ciebie,
W znużonych oczach
Smutek miałaś —
Bo ja przed tobą jak na pokaz
Siebie trwoniłem wciąż w skandalach.

Lecz nie wiedziałaś,
Że ja w wiecznym dymie,
W życiu przez burze przewracanym ciągle
Dlatego męczę się,
Że nie rozumiem,
Dokąd fatalizm zdarzeń nas zaciągnie...

Te lata przeszły.
Przyszły inne.
Uczucia, myśli uległy odnowie
I mówię przy świątecznym winie:
Chwała i sława sternikowi!

Pamiętam znów
W przypływie czułych uczuć
Zmęczenia żałość twą daremną.
I oto teraz
Chciałbym ci powiedzieć,
Jaki ja byłem
I co się stało ze mną.

Kochana!
Miło mi donosić:
Ze stromej nie odpadłem ściany.
I teraz jestem w całej Rosji
Jako poputczik twardy znany.

Jestem zupełnie inny dziś.
Nie męczyłbym cię znów
Jak dawniej zuchwale.
Za wolność
Jestem gotów iść
Aż do La Manche'u nawet.

Wybacz... ja wiem:
Ty również się zmieniłaś —
Żyjesz
Z poważnym, mądrym mężem;
Męczarnię wspomnień niepotrzebnie wzywam.
Wspomnienia, ani ja
Już nie są ci potrzebne.

A więc żyj tak
Jak gwiazda ci pokaże,
Żyj w odmłodzonej swej jesieni.
Pozdrawiam.
Ten, który pamięta zawsze
Znajomy twój

Sergiusz Jesienin

Przełożył: Jerzy Księski

◆◆◆

Bławy pożar pali serca pieśń
zapomniane już ojczyste dale.
Po raz pierwszy o miłości pieśń,
po raz pierwszy poniecham skandali.

Byłem cały — jak zarosły sad,
na kobiety i na wódkę łasy.
Już nie będę więcej zdrowia kradł,
odechciało mi się pić i hasać.

Gdybym tylko w twarz twą patrzeć mógł,
do zawrotu w twoich oczu ciemnię,
byś zarzekła się swych dawnych dróg
i nie mogła już odejść ode mnie.

Wiotka kibić i łagodny krok.
Gdybyż serce twe mogło zrozumieć,
jak to kochać umie taki łotr,
jak pokornym nawet stać się umie!

Wszystkie wiersze cisnął precz bym w kąt
nie przestąpił nigdy knajpy progu,
by się tylko twych dotykać rąk
i twych włosów jesiennego brogu.

I na zawsze poszlibyśmy gdzieś,
czy to w nasze, czy też w obce dale.
Po raz pierwszy o miłości pieśń,
po raz pierwszy poniecham skandali.

Przełożył: K. A. Jaworski

◆◆◆

Wieczór ściągnął brwi czarne surowo.
Czyjeś konie czekają wspaniałe.
Czy to wczoraj przepiłem swą młodość?
Czy to wczoraj cię kochać przestałem?

Nie rżyj, trójko! Spóźnionaś fatalnie.
Nasze życie przemknęło bez śladu.
Może jutro już łóżko szpitalne
na to wszystko znajdzie w końcu radę.

Może jutro, może jutro jeszcze
pójdę inny, okrzepły na wieki,
słuchać pieśni czeremchy i deszczu,
co tak cieszą zdrowego człowieka.

I zapomnę o ponurych siłach,
co szarpały mnie, gryzły dokoła.
O łagodna! O twarzyczko miła!
Ciebie jednej zapomnieć nie zdołam.

Choćbym kiedyś mógł pokochać inną,
lecz i przy niej, z tą inną tak samo,
będę mówił o tobie, jedyna,
którą-m kiedyś nazywał kochaną.

Będę mówił, jak życie płynęło...
nasze życie, co życiem nie było...
Głowo moja toż to twoje dzieło,
Ach, szalona, coś ty narobiła!

Przełożył: K. A. Jaworski

Niemcy w „Placówce" i w publicystyce Bolesława Prusa

(Dokończenie ze str. 1)

niemieckiej metropolii". Replikę „Niwy" przedrukowała „Gazeta Lubelska" (78, 1876), kontynuując w ten sposób na miejscowym gruncie polemikę z „Kurierem Lubelskim".

Dalszy jej ciąg na terenie stołecznym stanowiła wydana pod koniec 1876 r. publicystyczna rozprawka znanego dziennikarza warszawskiego, J. Jeleńskiego, poświęcona między innymi problemowi kolonizacji niemieckiej („Żydzi, Niemcy i my"). Autor jej, znany ze swych wystąpień antysemickich, także i tę kwestię rozpatrywał ze stanowiska nacjonalistycznego. Uważał kolonizację za świadomą akcję germanizacyjną na ziemiach Królestwa Polskiego, prowadzoną w sposób zamaskowany przez rząd niemiecki. Pogląd ten przyjął się na długo w publicystyce Królestwa. Wkrótce po ukazaniu się broszury Jeleńskiego przeciwstawił się jej jedynie anonimowy autor piszący w „Kurierze Lubelskim" (147, 1876), który jeszcze raz mocno podkreślił ekonomiczne przesłanki wpływające na rozwój kolonizacji.

W tej gorącej atmosferze polemik i drastycznych wystąpień, Prus, niejednokrotnie atakowany osobiście, zachowując pełny obiektywizm, początkowo bronił swojego stanowiska. W 1879 r. na łamach „Kuriera Lubelskiego" (251, 1879) jeszcze raz wspominał o zasługach osadników niemieckich dla Polski. Od tego jednak momentu dalsze wystąpienia Prusa nie były już tak przychylne dla Niemców. Prus bynajmniej nie przyjął jednak podstawowego punktu widzenia swych przeciwników. Ewolucję tę spowodowali przede wszystkim sami Niemcy, a raczej rząd niemiecki, swą germanizacyjną polityką na Śląsku i w Poznańskiem. Autor „Placówki" gorąco zaprotestował przestrzegając Niemcy przed sprawiedliwością dziejową. W wypowiedziach do własnego społeczeństwa apelował jednak o rozsądek, o nieodpłacanie Niemcom nienawiścią. Związany bliżej po 1880 r. z Erazmem Piltzem, a przez niego z Włodzimierzem Spasowiczem i ich koncepcjami politycznymi porozumienia się z Rosją przeciw naporowi niemieckiemu, zaczął Prus coraz krytyczniej patrzeć także na poczynania żywiołu niemieckiego w Królestwie. W kronikach ogłaszanych na łamach „Kuriera Warszawskiego" z niepokojem notował wiadomości o nowych nabytkach kolonistów niemieckich. zwracał uwagę na opanowywanie przez żywioł niemiecki przemysłu w Królestwie, wreszcie uznał za konieczne podjęcie walki ekonomicznej z tym naporem i żądał pewnego ograniczenia imigracji niemieckiej.

Problem niemiecki w Królestwie znalazł również swe odbicie w twórczości literackiej Prusa. Po „Anielce" i „Powracającej fali", rozwinął go najpełniej w swej pierwszej większej powieści „Placówce". Okoliczności, w których powstała ta książka, były nader interesujące. Dzięki Żeromskiemu, który zanotował w swym dzienniku opowiadanie Oktawii, wiadomo, że Prus gromadził materiały i pisał powieść w Nałęczowie. Przebywając tu od 1882 r. na wakacjach, często wędrował po okolicach, odwiedzał zwłaszcza wieś Przybysławice i znajdujące się przy trakcie do Lublina kolonie niemieckie (osiedla niemieckie istniały wówczas w Płouszowicach, Borkowiźnie i Sługocinie), wszechstronnie i gruntownie zaznajamiał się z życiem kolonistów i chłopów. Tu także umiejscowił akcję powieści.

Zdaniem T. Jodelki, który niedawno zajmował się tym zagadnieniem, autor dlatego wybrał Królestwo, a nie Poznańskie, gdyż chciał udowodnić, że w nierównej walce z zachodnim sąsiadem można odnieść zwycięstwo. W warunkach istniejących w Królestwie wystarczył do tego tylko bierny opór. Tłumaczenie to, bezsprzecznie bardzo logiczne, nie może jednak w pełni zadowolić. Wydaje się, że Prus brał przede wszystkim pod uwagę inne motywy o charakterze literackim. Pozostając wówczas pod wpływem naturalizmu, a zwłaszcza twórczości Daudeta, pragnął umiejscowić akcję swego utworu w środowisku, które dobrze i wszechstronnie poznał i rzucić ją na tło stosunków gospodarczo-społecznych, w których jako bystry kronikarz i obserwator życia także świetnie się orientował. Z uwagi na drobiazgowe wymogi realistycznego warsztatu literackiego Wielkopolska odpadała, jako raczej ziemia nieznana dla Prusa. Główny motyw powieści stanowi także literackie rozwinięcie publicystycznych wypowiedzi Prusa na temat kolonizacji niemieckiej w Królestwie. Prus — publicysta, dla którego był to problem ważny, wyraźnie głosił, że parcelowana przez szlachtę ziemia dopóty będzie przechodziła w ręce kolonistów, lub innych przypadkowych nabywców, „...dopóki zdradzony i opuszczony przez swoich kęs ziemi nie dostanie się w żelazną rękę chłopa", („Kurier Warszawski", 255, 1881). Należy więc raczej sądzić, że oczywista dla każdego czytelnika polskiego symbolika i wymowa powieści w powiązaniu z Wielkopolską nie były przez autora zamierzone tylko wynikły z późniejszych wypadków.

Powieść Prusa doczekała się wielu znanych omówień i analiz literackich (między innymi pióra znakomitego prusologa lubelskiego, prof. F. Araszkiewicza), których tu oczywiście nie ma potrzeby powtarzać. Warto jednak zwrócić uwagę na jedno, nader istotne zagadnienie. Oto w omawianej powieści Prus ukazał gromadę kolonistów, dążących konsekwentnie do opanowania upatrzonej przez siebie ziemi, jako siłę bezsprzecznie groźną i niebezpieczną dla kraju. Jego pierwsze młodzieńcze poglądy na kolonizację, jako zjawisko społeczne i gospodarcze, uległy więc poważnej rewizji. Nadal jednak zachował duży obiektywizm, podkreślając w charakterystyce kolonistów ich niewątpliwie dodatnie cechy z pracowitością i dobrą organizacją działania na czele.

W latach następnych mimo wzmożonej twórczości literackiej, autor „Lalki" w dalszym ciągu żywo interesował się problematyką niemiecką. Stopniowo jednak przechodził od spraw związanych z Niemcami w Królestwie do tematyki szerszej, pisząc głównie o państwie niemieckim, jego polityce, nauce niemieckiej itp. Ton owych wypowiedzi był krytyczny i demaskatorski. Prus wielokrotnie piętnował imperializm i szowinizm niemiecki, z niepokojem obserwował rodzące się w Niemczech koncepcje rasistowskie, ujawniał polityczny i nacjonalistyczny charakter nauki niemieckiej.

Do problemu niemieckiego w Królestwie powrócił raz jeszcze w roku 1901, kiedy prasa w odpowiedzi na nowe gwałty rządu niemieckiego i Hakaty wobec Polaków w zaborze pruskim (Września) rozpoczęła żywą kampanię antyniemiecką. W obszernym artykule utrzymanym w spokojnym tonie zajął się autor „Placówki" jeszcze raz sprawami polsko-niemieckimi. Sięgając do doświadczeń historii, rozróżnił tu dwa prądy. Jeden, jego zdaniem, szedł od niemieckiego narodu, drugi od pruskiego rządu i jego rozmaitych przedstawicieli. Charakteryzując pierwszy, z dużym obiektywizmem i skrupulatnością wylicza wszystkie zdobycze i wartości, które Polacy przejęli w wielu dziedzinach od Niemców, w zbyt nawet przesadny sposób akcentując wpływ kultury niemieckiej na rozwój cywilizacji w Polsce. Był to jednak punkt widzenia charakterystyczny dla wszystkich pozytywistów, rozmiłowanych w zachodniej cywilizacji. Następnie wspomniał o dobrych uprzywilejowanych warunkach, jakie znaleźli z kolei w Polsce osadnicy niemieccy, a zwłaszcza koloniści — rolnicy. Zupełnie odmiennie według Prusa ułożyły się stosunki z rządem pruskim, a następnie społeczeństwem tego kraju. Nienawiść do Polski zrazu opanowała pruską biurokrację i koła wojskowe, potem uczonych i filozofów, a od czasów Bismarcka „...zaczęła rozlewać się po całym pruskim społeczeństwie". W zakończeniu, zwracając się do własnego społeczeństwa, autor pisał: „Swoją drogą Polacy, jeśli chcą rozwijać się, nawet istnieć, muszą bardzo panować nad rozdmuchiwanym w nich uczuciem nienawiści. Precz z nienawiścią nawet do Prusaków, nawet do hakatystów. Narodowość polska wówczas dopiero stałaby się zagrożona, gdyby Polacy pod wpływem swoich nieprzyjaciół, sami wpadli w obłęd nienawiści". W atmosferze szczególnie napiętej, wychodząc ze szlachetnych ideałów braterstwa ogólnoludzkiego, autor „Placówki" jeszcze raz odważnie przeciwstawiał się naturalnym w takiej sytuacji uczuciom odwetu i hasłom nacjonalistycznym. Poglądy Prusa, rzecz ciekawa i charakterystyczna, pokrywają się w tym punkcie zupełnie ze zdaniem, jakie wówczas wyraził piszący oczywiście z innych pozycji metodologicznych Julian Marchlewski. Potępiając akcję bojkotową wobec Niemców organizowaną przez klasy posiadające Królestwa, stwierdził, że „...spotęguje jedynie szowinizm i jest ze strony polskiej taką samą pułtyką, jaką uprawiają Niemcy wobec Polaków". I chociaż rozumowanie Prusa można dzisiaj uznać nierzadko za błędne, jak np. jego rozgraniczenie na „dobrych Niemców" i „złych Prusaków", to jednak ogólny ton wystąpienia w tych niełatwych sprawach był z pewnością właściwy.

Przy analizie i ocenie publicystyki dotyczącej omawianych zagadnień nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Otóż Prus, jak to już wielokrotnie podkreślano, był publicystą reagującym niesłychanie żywo na bieżące wydarzenia. Umiejętnie obserwował życie i wraz ze zmianami w nim zachodzącymi korygował swe poglądy. Obserwując duży rozwój procesów osadniczych, wcale nie szybką asymilację żywiołu niemieckiego, zwłaszcza w dużych skupiskach, z czasem, jak widzieliśmy, odszedł od swej pierwotnej, może zbytnio wysublimowanej i teoretycznej oceny tego zjawiska, jaką dał w „Ateneum". Dostrzegając w żywiole niemieckim siłę groźną dla kraju, zajął wobec niego stanowisko krytyczne. Nigdy jednak — w przeciwieństwie do większości publicystów uprawiających wówczas tę tematykę z Ludwikiem Górskim i Henrykiem Wiercieńskim na czele — w najdrażliwszych nawet kwestiach nie porzucił obiektywnego punktu widzenia, zawsze przeciwstawiając się rozbudzanym przy tych okazjach uczuciom szowinistycznym. Jest to z pewnością jedna z głównych i nieprzemijających wartości jego publicystyki.

Wiesław Sladkowski

Henryk Pająk
MIEJSCE W PIEKLE

...LAS urwał się nagle, tak kończy się tylko prawdziwy las, tunel i podobno dzień podzwrotnikowy. Wyszedł na małą polankę z kępą rachitycznych zabudowań, spiętych mocnym parkanem.

Gospodarz stał oparty o wrota stodoły i widział go od kilku chwil, ale nie ruszał się. Patrzył na zbliżającego się mężczyznę rzeczowo, bez cienia przyjaźni.

— Chciałbym przenocować — mówił gość. — Łażę tu od dziesięciu lat, a pański dom widziałem wiele razy. Zimą, w jesieni za dużo tu błota, zresztą zając nie lubi takich płaskich miejsc, bo widać go długo i celnie. Po tym wszystkim nawet zające tu zmądrzały. (— Nie lubię takich typów — myślał — słucha taki odyniec i kalkuluje, czy opłaci się wdać w rozmowę z tym wydziałem miejskiej rady narodowej, pogadać nad michą jajecznicy czy od razu wskazać zatęchłe wyrko).

— Jak to — po tym wszystkim? — Mężczyzna odwrócił się i z łoskotem zatrzasnął wrota.

— Po wojnie, oczywiście. Był pan tu w czasie wojny?

— Nie.

— Szkoda. Niemcy z tych lasów rozpoczęli atak. Tylko całe piekło koncentracji poczuliśmy tam, sa Wołyniu.

— O! Wołyniak?

— Autentyczny!

Stanęli w dużej izbie. Stół, trzy staroświeckie krzesła, kanapa o wymyślnych kształtach, rogi jelenie, piec. Pustka.

— Poluje pan? No cóż — miejsce idealne — rozrzewnił się gość.

— Co pan woli? Kiełbasę z dzika czy jajecznicę?

— Egzamin pomyślny! — Jajecznicę na kiełbasie — dodał głośniej. — Często miewa pan takie naloty?

— Wystarczy. Sama śmietanka. Wie pan, co to znaczy.

— Rozumiem... fajerwerk...

Ogień buzował. Zrobiło się ciepło. Zadymiła jajecznica.

— Wypijemy? — Nie czekając na zgodę, gospodarz uchylił niewidoczną dotąd klapę w podłodze. Powiało chłodem.

— Czuje pan ten przeciąg? Piwnica ma 10 metrów długości. To zdobycz mojego poprzednika. Kiedy przyjeżdża hołota z miasta, zasłaniam to wejście. Tam jest moje astrolabium — dodał z niezrozumiałym sarkazmem.

— Prosit!

Podniósł kieliszek lewą, ale natychmiast przełożył do drugiej: — Więc zna pan Wołyń?

— Tak, zdaje mi się!... Chłopniów, Trościaniec... — Dowodziłem kompanią w Przebrażu. Broniliśmy ludności przed bandami.

— Znam, znam, biliście nieźle, bali się was. — Spojrzał otwarcie w oczy przybysza. Nagle ożywił się.

— Dlaczego rozbiliście Trościaniec?

— Pod naszym bokiem banderowcy urządzili sobie szkołę podoficerską. Albo oni nas, albo my ich, to ja opowiem panu tę akcję. Jest w niej zdarzenie... nie, raczej problem... — Lampa naftowa mżyła żółtawym, lepkim światłem, leniwie odpierając napór zimowej nocy. Gość mówił:

...— Maj 1943. Od trzech dni siąpi drobny, prostopadły deszcz. Podeszliśmy nad ranem. Gdzieś zapiał kogut, zaskrzypiał studzienny żuraw. Uderzony tą ciszą, z przerażeniem pomyślałem o piekle, które miałem rozpętać jednym skinieniem ręki. Zobaczyłem wtedy, co to jest strach, chęć życia i przyznam się panu, że odtąd byłem już mniej odważny, to znaczy przestałem być głupio odważny. Na pewno zna pan ten rodzaj bohaterstwa, kiedy się ma szesnaście lat i niezawodny automat...

— Do rzeczy, niech pan przestanie ględzić, do diabła! No, niech pan mówi dalej, nie o to mi chodziło...

— Co się stało?

— Głupstwo. Przypomniałem sobie podobną scenę. — Wypił, nie czekając na rozmówcę.

— Pan jest mańkutem?

— Nie, ale lewą mogę robić wszystko.

— Pisać i strzelać?

— Nawet. Kiedyś złamałem prawą rękę. Zrosła się źle, łamano ponownie. Odtąd lewą władam nawet lepiej.

—... Bo miałem przyjaciela, który przeszedł podobny wypadek. To było właśnie w Trościańcu, tam chodziliśmy do szkoły. Najlepszy kolega i najgorszy łobuz w szkole, a potem najkrwawszy bandyta na Wołyniu. Spotkałem go...

— Prosit — z twarzy gospodarza nie znikał ironiczny uśmieszek.

—... w lesie pod Jaromlem. Chcieliśmy doprowadzić do spotkania przedstawicieli polskiej ludności z banderowcami. Zapraszali nas w głąb swoich terenów. Była to oczywista prowokacja. Otrzymałem polecenie przerwania pertraktacji.. Tam właśnie spotkałem Waśkę. Był sam. Nie widzieliśmy się od trzech lat, ale od dawna wiedziałem, że to on zamordował swoją matkę, bo była Polką.

— Waśka! Ty u banderowców — wykrzyknąłem ze zdziwieniem, udając, że o niczym nie wiem.

— Tak trzeba! — W głosie jego nie było cienia życzliwości. Podał mi ulotkę. Przeczytałem: „Smert Lacham, Żydam, moskowskoj komunie. Człen służby bezpieki je bezposzczadnyj i nemyłosernyj dla swoich worohow, a szczeholno dla Lachiw".

— I co dalej z tym Waśką?

— Po raz drugi spotkałem go właśnie po rozbiciu Trościańca. Był jeńcem. Cybulski zdecydował, że Waśka musi zginąć, bo to morderca własnych rodziców.

Kiedy już byliśmy w lesie, poprosiłem Cybulskiego, aby pozwolił mi wykonać wyrok. Mam z nim osobiste porachunki — wyjaśniłem.

... Zostałem z Waśką na drodze. W jego oczach nie było nic oprócz nienawiści.

— Jesteś młody i głupi, Waśka. Twoi atamani nałgali ci straszliwie. Masz jednak wyraźne szczęście. Przeżyjesz to piekło i wiem, że kiedyś ujrzysz to wszystko inaczej. Możesz odejść...

Sięgnąłem po automat i posłałem w niebo krótką serię na znak, że Waśka zajął swoje miejsce w piekle, po czym ruszyłem za oddziałem. Po kilku krokach obejrzałem się. Waśka stał w tym samym miejscu. Widząc, że obejrzałem się, krzyknął:

— Jeśli cię kiedyś dopadnę, zastrzelę jak psa. Za te wielkie gesty!

— To twoja sprawa — krzyknąłem...

— Dureń. — Rozległo się w głębi kanapy.

— Kto?

— Obydwaj, prawdę mówiąc... a... trzecie spotkanie?

— Skąd pan wie, że jeszcze go spotkałem?

— Normalne. W każdej takiej historyjce jest zasada: do trzech razy sztuka!

— Ach tak! Istotnie, widziałem go jeszcze. W Kiwercach.

— A widzi pan!...

— ... był sam, bez broni. Powiedział, że już trzy miesiące ukrywa się przed banderowcami. Nie wierzyłem. On, Waśka przed banderowcami? ...W sąsiedniej wsi mieszkał nauczyciel, Ukrainiec z żoną Żydówką i córką. Jeśli widywał pan Żydówki, trzeba przyznać, że Żydówki były albo bardzo brzydkie albo bardzo ładne. Ja nie widziałem przeciętnej, młodej Żydówki. Kama, córka nauczyciela, była piękna. Powiem więcej... była olśniewająco piękna. Miała setki wielbicieli, ale jej uroda onieśmielała wielu. Wszystkich tylko nie Waśkę, a że chłopak był nieszpetny, zaś temperament pięknej — jak nazywano Kamę — dorównywał jej urodzie, wybuchła miłość szaleńcza!

— Kama, piękne imię!

— Pewnego razu komandir Waśki otrzymał wiadomość, że w tej wsi ukrywa się trzech żołnierzy radzieckich zbiegłych z niewoli. Poszli. Uprzedzeni żołnierze uciekli, ale okazało się, że ukrywali się w szkole. Żonę nauczyciela zastrzelili, jego samego wrzucili do studni. Kamę zaś chwyciło kilku mołojców.

Myśliwy przerwał, ale widząc, że gospodarz siedzi w milczeniu, ciągnął.

— Waśka opowiadał mi dzieje następnych chwil. W pewnym momencie z jego automatu bluznęły kule po ciele Kamy i leżącym na niej mołojcu, przeniosły się na następnych, a kiedy automat umilkł skoczył w las. ... Odtąd już nie widziałem Waśki...

Gospodarz siedział w nikłym świetle lampy z nogami wyciągniętymi przed siebie. Odrzucona w tył głowa spoczywała na oparciu kanapy.

— Śpi pan?

— Nie, słucham... Ciekawe. Romantyczne, kozacze. Sądzi pan, że ten Waśka przeżył wojnę, a jeśli tak, to kim jest. I... gdzie jest?

— Pytanie. Jedyna nadzieja — że jest chyba po prostu porządnym człowiekiem!

— Ach tak. Wie pan... Jakiś niemiecki poeta... powiedział coś w tym sensie... Śmierć jest wielka, gdy wydaje się nam, że jesteśmy w środku życia, ona śmie płakać w środku nas... To był miękki facet, ten poeta. Nie pomyślał o nienawiści! To jedna z banalniejszych prawd...

Fragment rozdziału książki pt. „Czerwona noc", która ukaże się w Wyd. MON. Opisane wydarzenia są prawdziwe.

Przykład: Zielona Góra

BYŁAM nieco zaskoczona znalazłszy na zielonogórskiej wystawie współczesnego malarstwa i grafiki jedną tylko pracę nadesłaną z Lublina przez artystę malarza Jana Ziemskiego. Wystawa otwarta wraz z rozpoczęciem Sympozjum Złotego Grona jest bądź co bądź ważnym wydarzeniem w życiu artystycznym kraju. Sto prac w dziedzinie malarstwa i czterdzieści dziewięć w dziedzinie grafiki (w tym kilka z zagranicy) stanowiło wielką rewię współczesnej sztuki plastycznej. Podobnie zresztą przygotowane referaty, a także sama dyskusja prezentowały przekrój zagadnień, jakie sztuka narzuca zarówno jej autorom jak i odbiorcom. Mówiąc o samej wystawie nieprzypadkowo użyłam określenia rewia, bo przecież dwa obrazy jednego tylko plastyka niezbyt dokładnie prezentują jego aktualny warsztat artystyczny, natomiast w sumie dają ogólną orientację w kierunkach poszukiwań i w perspektywach rozwoju.

Żeby jednak nie wchodzić całkowicie w kompetencje krytyka sztuk plastycznych, skorzystałam z okazji i zwróciłam się o ocenę imprezy do nestora współczesnych artystów, prof. Alfreda Lenicy.

— Jak pan ocenia zielonogórską wystawę?

— Co do poziomu, uważam że jest lepsza niż wystawa XX-lecia, a warto podkreślić, że typowanie obrazów odbywało się bez udziału jury. Zaproszeni plastycy sami dokonywali wyboru dzieł w myśl własnej, subiektywnej oceny. Wybór taki nie nadaje wprawdzie określonego profilu całości, ale ułatwia ogólną orientację w kierunkach naszego malarstwa. Uniknęliśmy w ten sposób zaznaczającej się rywalizacji o pierwszeństwo w galeriach artystów prezentujących kierunek abstrakcji geometrycznej, konstruktywistycznej i nieformemej. Zresztą połączenie wystawy z dyskusją na temat współczesnej sztuki wydaje mi się szczególnie cennym pomysłem, który nadaje wysoką rangę zielonogórskiej imprezie.

Niestety, ani na wystawie, ani w trakcie obrad poświęconych współczesnym kierunkom artystycznym w kraju i na Zachodzie, a także problemom tak zasadniczym, jak rola współczesnej plastyki w społeczeństwie nie dostrzegłam nikogo z Lublina, oczywiście z osób zainteresowanych tymi zagadnieniami. Nie chcę sądzić, że zainteresowanych nie ma. Tym bardziej, że — jak często podkreślano na Sympozjum — dążenie od decentralizacji ośrodków artystycznych dało już cenne rezultaty. Jako przykład wymieniano ośrodek koszaliński i elbląskie Biennale. Mówiono też o Lublinie.

Najbardziej jednak typowym przykładem twórczej aktywności prowincji stał się okręg zielonogórski. Wbrew tradycyjnym już trudnościom zorganizowano tam dwie ogólnopolskie wystawy, ściągając jednocześnie na sympozja najbardziej autorytatywnych znawców i twórców współczesnej sztuki plastycznej. Stworzono doskonałe warunki dla przeprowadzenia aktualnej dyskusji na forum i dla nie mniej czasem cennej wymiany prywatnych poglądów i doświadczeń. Co ciekawsze — wśród 10 nagrodzonych w dziedzinie malarstwa i grafiki oraz 16 wyróżnionych, obejmujących również artystów Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i Jugosławii, znalazło się trzech zielonogórzan, przy czym Klemens Felchranowski zbierał laury i w malarstwie i w grafice.

Czemu należy przypisać niebywałą prężność zielonogórzan?

Wiadomo, że dopiero w 1953 roku do nowo kształtującego się kulturalnego ośrodka Ziemi Lubuskiej zaczęli napływać plastycy. W 1957 roku w Zielonej Górze działało już spore ich grono, intensywnie wspierane przez miejscowe władze kulturalne. Zrobiono eksperyment. Ukształtowano własne środowisko, a społeczeństwo odpowiedziało kredytem zaufania. Zadanie było tym trudniejsze, że plastykom brakowało tzw. historyczno-filozoficznego zaplecza, społeczeństwo zaś składało się z nie najlepiej jeszcze zżytych nowych środowisk, skupionych raczej wokół zakładów pracy. Dopingiem stała się wola utworzenia polskich tradycji na Ziemiach Zachodnich nie przez uparte odkurzanie pomników polskości lecz przede wszystkim przez wszechstronne, aktywne zagospodarowanie ziem przywróconych Macierzy.

W jaki sposób zrealizowano zamierzony eksperyment — nietrudno się przekonać. Wystarczy przejść się po Zielonej Górze.

Nowe pawilony plastyczne to jeszcze nie wszystko. Praca artystów widoczna jest wszędzie. Znajdujemy ją w nowych pomnikach, na ścianach estetycznych kawiarni, w projekcie wielkiej hali ludowej, w ciekawych plakatach, w godłach i medalach zielonogórskich. Tym właśnie kształtowaniem lokalnej (jeśli nie regionalnej) sztuki podbili z biegiem czasu zawsze nieco sceptyczne społeczeństwo. Zdobyli zainteresowanie i tak trudny kontakt z odbiorcą. Nic dziwnego, że mają teraz możność urządzać kosztowne imprezy.

Egzaminy pod Majdankiem

(Dokończenie ze str. 5)

zyka francuskiego. Santockiego w domu nie zastali, a pokój obok był pusty. Dziewczynki zostały na razie zwolnione.

Nazajutrz „schulraci" szukali dziewczynek w szkole zawodowej, do której uczęszczały, ale już ich nie znaleźli. Na jakiś czas musiały wyjechać z Lublina. Nici urwały się, a „schulraci" grozili, że oddadzą sprawę gestapo. Nie uczynili jednak tego. Może dlatego, że sami sprawę popsuli.

Ale co teraz zrobić z kol. Santockim? Był już dobrze znany „schulratom" i bardzo źle notowany u nich, jako nauczyciel języka polskiego w szkole zawodowej, u którego podczas wizytacji znaleziono u uczniów zeszyty z notatkami z historii. Tym razem nie można już było ryzykować. Ukryliśmy kol. Santockiego na terenie szpitala Jana Bożego, w mieszkaniu intendenta. Później wyjechał na wieś pod Lublin, a następnie daleko za Wisłę (do Pilicy). Wrócił do Lublina w 1945 roku.

*

W dniach 20 i 21 lipca 1944 r. było dużo pracy we wsi Niemce (sprawdzanie wyników nauczania w kompletach i egzaminy eksternów). W towarzystwie żony zatrzymałem się u mego przyjaciela, ks. Władysława Jędruszaka. Pomagał nam w organizowaniu nauczania młodzieży na swoim terenie, użyczał mieszkania, znajdował pomoc i schronienie dla nauczycieli.

Od paru dni słyszeliśmy już silny odgłos armat zza Buga, co wskazywało, że ofensywa wojsk radzieckich niedługo się rozpocznie. Należało bacznie uważać, co dzieje się dookoła.

Pod wieczór 21 lipca (piątek) zastanowiło nas dość osobliwe zarządzenie, które otrzymał zarządca majątku, p. Tyrankiewicz. Następnego dnia wcześnie rano miał odstawić do dyspozycji „Kreislandwirta" najpiękniejszą parę koni i najlepszy powóz.

A więc przygotowania do ucieczki? Trzeba wobec tego czegoś się dowiedzieć. Wykorzystaliśmy nieobecność niemieckiego oficera w kwaterze na plebanii, by wysłuchać wojennych komunikatów radiowych nadawanych w języku rosyjskim. I oto dowiadujemy się, że wojska radzieckie przekroczyły Bug i szybko posuwają się naprzód. Są już pod Łęczną, a więc niedaleko nas. Trzeba prędko wracać do domu, ale jest już późny wieczór.

Nazajutrz rano wyjechaliśmy do Lublina bryczką podaną dla „Kraislandwirta". Nie wysłano jednak koni i powozu, których domagał się Niemiec, w dodatku woźnica otrzymał polecenie, by po zgłoszeniu się Starostwie natychmiast odjechał i ukrył konie. Mała asekuracja.

Do Lublina jechaliśmy drogą pełną niemieckiego wojska i różnych kolumn, taborów oraz ludzi, poruszających się w przeciwne strony. Widać było wielkie zamieszanie i dezorientację. Jazda była utrudniona i bardzo uciążliwa. Bryczka posuwała się powoli, bokiem szosy, często zjeżdżając na pola i poprzez rowy. Długo trwała podróż na odległość zaledwie 13 kilometrów.

Pod Lublinem widzieliśmy Niemców w okopach. Na pozycje zaciągano armaty.

W domu czekała nas straszliwa wiadomość. Poprzedniego dnia Niemcy wymordowali więźniów na Zamku. Tego dnia właśnie miałem zameldować się w więzieniu, ale przed wyjazdem w teren byłem tam w środę. Łut szczęścia?

W sobotę, wieczorem 22 lipca, wojska radzieckie stanęły już na rogatkach miasta, w niedzielę rano część Lublina była oswobodzona. Znaleźliśmy się po drugiej stronie frontu i wtedy skończył się dla mnie okres tajnego nauczania. Później dowiedziałem się, że w niespełna dwie godziny po naszym wyjeździe ze wsi Niemce wkroczyły tam wojska radzieckie i ludność nieco ucierpiała na skutek działań wojennych. Nie dokończyłem tam pokazu wyrobu mydła, ale według udzielonych wskazówek nie zdążyli też go „ugotować" ludzie, którzy mieli ten pokaz dokończyć.

Alojzy Paciorek

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ W Domu Związków Zawodowych w Białymstoku otwarto 25 września wystawę sztuki użytkowej, przygotowaną przez ZPAP oraz Spółdzielcze Zrzeszenie Chałupników i Wytwórców Ludowych. Na otwarciu byli obecni przedstawiciele władz kulturalnych Lublina.

◆ W ogólnokrajowym plebiscycie czytelniczym na książkę o wojsku pod hasłem „Pióro i karabin" I miejsce zajęło woj. białostockie, w którym złożono 10611 kuponów i przeczytano 35196 książek.

◆ Teatr Propozycji w Białymstoku wystawił 19 z kolei premierę — „Głód i pragnienie" E. Ionesco, w przekładzie J. Kotta. Reżyserował Al. Gabrusiewicz.

◆ Projekt powołania do życia Białostockiego Towarzystwa Kultury wysunięto na wojewódzkiej inauguracji roku kulturalno-oświatowego w Suwałkach. Mówiono także o konieczności nawiązania jeszcze ściślejszych kontaktów z sąsiednimi województwami.

◆ Bolesław Szlachciuk, gajowy w nadleśnictwie Zwierzyniec, jest chyba jedynym w Polsce twórcą ludowym, który rzeźbi... żubry.

KIELCE

◆ 5 października Egzekutywa KW PZPR w Kielcach omawiała działalność placówek kulturalno-oświatowych na wsi. Stwierdzono, że baza materialna jest dość duża, ale nie wszędzie prowadzi się wystarczającą pracę. Ponad 100 placówek nie posiada rad społecznych.

◆ W parku pałacu w Orońsku otwarto pierwszą w województwie plenerową wystawę rzeźby. Autorzy prac na spotkaniach w Szydłowcu i Kielcach dyskutowali nad zagadnieniem rzeźby w materiałach trwałych.

◆ Zakład Archeologii Wczesnośredniowiecznej PAN wznowił pod kierunkiem dr Jerzego Gąssowskiego prace wykopaliskowe w Sandomierzu. Na wzgórzu w pobliżu kościoła św. Jakuba natrafiono na ślady osadnictwa z XII w.

◆ Klub „Merkury" w Kielcach rozpoczął serię prelekcji, które w sumie będą stanowiły studium wychowania estetycznego.

◆ Zarząd Wojewódzki ZMW oraz Wydział Kultury Prezydium WRN zorganizowały ponad 20 spotkań z młodzieżą wiejską. Młodzież nie tylko słuchała prelekcji, ale i brała żywy udział w dyskusjach.

◆ Tegoroczny sezon muzyczny w Radomiu rozpoczął się koncertem Haliny Czerny-Stefańskiej oraz Filharmonii im. H. Wieniawskiego z Lublina.

LUBLIN

◆ Lubelska Estrada z rozmachem rozpoczęła nowy sezon: premiera „Komu piosenkę" na własnej scenie, występ wrocławskiego kabaretu W. Dzieduszyckiego, dyskusja nad własną działalnością, recital pantomimiczny. Wszystko w ciągu 3 dni. Oby w ciągu roku tempo utrzymano chociaż w połowie!

◆ Był to mój najcudowniejszym wypad z Warszawy w Polskę — pisze w angielskim dzienniku „The Times" jego korespondent po zwiedzeniu Lublina. Autor zachwycał się przede wszystkim Starym Miastem.

◆ W Janowie Podlaskim (pow. Biała Podlaska) buduje się nowy dom kultury, a w 10 wsiach tego powiatu nowe świetlice.

◆ Zygmunt Tokarzewski z Krasnegostawu jest w jednej osobie założycielem muzeum regionalnego w tym mieście, jego kustoszem i sprzątaczem, a jednocześnie plastykiem i wydawcą.

◆ 25 lubelskich plastyków, w większości amatorów, bierze udział w wystawie, która jest eksponowana w głównych miastach Australii — Sydney, Canberra, Adelaida itd. Wystawa cieszy się ogromnym zainteresowaniem Polonii australijskiej.

◆ Wystawa „Dzieje miasta Lublina" w wyremontowanej wreszcie Bramie Krakowskiej cieszy się niezwykłym powodzeniem. W ciągu pierwszych 10 dni zwiedziło ją prawie 8 tys. osób.

RZESZÓW

◆ Z okazji Dni Lubaczowa wystąpiły tam teatry dramatyczne im. J. Osterwy z Lublina oraz im. W. Siemaszkowej z Rzeszowa. Wydano też pierwszy tom rocznika Tow. Miłośników Ziemi Lubaczowskiej.

◆ W Rzeszowie odbyły się I Targi Piosenki. Przyjechało 20 piosenkarzy z Krakowa, Łodzi i Lublina — i naturalnie miejscowi.

◆ W Dębicy odbyło się podsumowanie rocznego współzawodnictwa, w którym wzięły udział 832 biblioteki z województwa. Biblioteki z Dębicy, Dukli, Posady Górnej (pow. Sanok) i Krygu (pow. Gorlice) otrzymały nagrody i wyróżnienia Min. Kultury. Nagrodzono także 32 pracowników bibliotek powszechnych.

◆ Ponad 100 zdjęć i obszerny tekst zawiera wydany świeżo album „Ziemia gorlicka, jej osiągnięcia w okresie 20-lecia władzy ludowej i perspektywy dalszego rozwoju".

◆ Muzeum w Przemyślu jest chyba jedyną tego rodzaju placówką w Polsce, w której wszelką korespondencję pisze się ręcznie. Prezydium MRN w Przemyślu bowiem od lat nie może zdecydować się na zakup maszyny do pisania.

◆ 11 klubów kulturalno-oświatowych rozpoczęło pracę w Rzeszowie w nowym sezonie. Najlepszą opinią cieszy się Klub Łączności.

BAEDEKER literacki

WŁODZMIERZ ODOJEWSKI: CZAS ODWRÓCONY. CZYTELNIK, 1965.

Utwór to niecodzienny. Zasługujący nieomal na umieszczenie w antologii polskiej noweli fantastycznej (choć prawdę mówiąc nie jest to nowela tylko szkic powieściowy i nie fantastyczny, tylko psychologiczny a raczej psychopatologiczny).

Bohater utworu w czasie okupacji brał aktywny udział w ruchu oporu. Pewnego razu został przypadkiem aresztowany i nie wziął udziału w planowanej akcji.

Akcja odbyła się bez niego. Bohater szczęśliwie uciekł z transportu do Oświęcimia i przetrwał. Minęło dwadzieścia lat „długim pasmem szarzyzny", minął okres, w którym „przyznawanie się do konspiracyjnej działalności nie było bezpieczne". I oto pewnego dnia starszawy naukowiec wracając do domu wpada w tryby „czasu odwróconego". Łączniczka — poległa przed dwudziestu laty — przynosi mu rozkaz wzięcia udziału w akcji, na którą swego czasu nie zdążył. Bohater wykonuje spóźnione zadanie i po powrocie do czasu teraźniejszego — nie ma tu bynajmniej mowy o snach — odbywa reporterską wędrówkę dla rekonstrukcji zdarzenia, w którym nie wziął udziału, zdarzenia, które odbite jakimś dawnym echem wróciło do niego odwróconym czasem.

Utwór Odojewskiego, napisany w formie wyznań bohatera, ukazuje go na granicy obłędu. Człowiek ten dochodzi do zwątpienia o swoim istnieniu, dochodzi do przekonania, że odnalazł na cmentarzu swój grób. Oczywiście nieuchronna wizyta u psychiatry i końcowe wyznanie: „wszystko zwolna zaciera się w mej głowie i miesza".

Grzebanie w przeszłości, dosyć typowe dla twórczości literatury ostatnich lat (np.: Bartelski „Wieniec", Kijowski „Pseudonimy") w wypadku Odojewskiego staje się szaradą, pasjonującą zagadką, tym ciekawszą, że nie rozwiązaną. Trudno się oprzeć wrażeniu, że z „Czasu odwróconego" byłby dobry film nowej polskiej fali.

JULIA PRAJS: PRZEZ UCHO IGELNE. CZYTELNIK, 1965.

Zbiór opowiadań o tematyce więziennej. Akcja w którymś z więzień przed rokiem 1939.

Strażnicy więzienni, prokuratorzy, karcery. Znamy to: „nieraz gorzko smakował na tej ziemi więzienny chleb", pamiętamy z „Róży" zapowiedź żandarmów z białymi orłami. Tak było, cóż, zawsze w każdym narodzie znajdują się, niestety, gorliwi wykonawcy, gdy znajdzie się rozkaz. „Przez ucho igielne" rewelacją literacką nie jest na pewno. Ma jednak kilka ciekawych ujęć. Np. przedstawienie rzeczywistości więziennej przez pryzmat psychiki więźnia i strażnika.

Dużo tu prawdopodobnie autentyzmu, opartego na wspomnieniach. Dlatego też można większość tych opowiadań nazwać częściami beletryzowanego pamiętnika.

B. K.

Komunikat

Biuro Wystaw Artystycznych w Lublinie przyjmuje zapisy na pierwszy rok Uniwersytetu Sztuki. Celem Uniwersytetu będzie: zaspokajanie estetycznych potrzeb słuchaczy i kształtowanie wrażliwości na piękno, wzbogacenie kultury estetycznej człowieka, wprowadzanie elementów piękna i sztuki do życia codziennego, popularyzowanie wiedzy z różnych dziedzin sztuki oraz umożliwienie słuchaczom kontaktu z dziełami sztuki z ich twórcami.

Wykładowcami na uniwersytecie będą wybitni naukowcy — profesorowie Akademii Sztuk Pięknych z Warszawy i Krakowa oraz historycy sztuki z Lublina.

Szczegółowej informacji udziela oraz zapisy na Uniwersytet Sztuki przyjmuje codziennie w godz. 8—15 Sekretariat BWA, Lublin, ul. Narutowicza 4, II piętro, Nr tel. 259-47.

Lubliniana

Redakcja „Kameny" wprowadza dział „Lublinianów" z myślą o informowaniu Czytelników o nowościach wydawniczych związanych z naszym regionem. Na początek prezentujemy kilka książek Wydawnictwa Lubelskiego.

DANUTA BIEŃKOWSKA — Żywot szczęśliwy Sebastiana Klonowicza. Lublin 1965. Wydawnictwo Lubelskie, s. 251, 1 nlb. Nakład 10.000 egz. Cena 16 zł.

Kolejna pozycja z cyklu powieści biograficznych (po książkach: Moniki Warneńskiej „Wiatr za progiem" — o S. Żeromskim, Krystyny Jabłońskiej — „Oktawia" — o O. Żeromskiej, Gabrieli Pauszer-Klonowskiej, „W cieniu nałęczowskich drzew" — o B. Prusie i Krystyny Jabłońskiej „Płomień na wietrze" — o F. Morzyckiej) przynosi zbeletryzowany portret jednego z wybitniejszych przedstawicieli poezji mieszczańskiej XVII wieku.

AUGUST GRYCHOWSKI — Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich od średniowiecza do r. 1918. Lublin 1965. Wydawnictwo Lubelskie, s. 223, 3 nlb.

Praca z historii literatury i języka. Nakład 3100 egz. Cena 20 zł. Na tego typu książkę społeczeństwo Lubelszczyzny czekało od dawna. W zwięzłym zarysie ukazuje ona bowiem kontakty kilkuset pisarzy polskich z naszym regionem, pozwalając poznać przede wszystkim fakty z ich biografii, w nieco mniejszym stopniu natomiast wpływ tych związków z Ziemią Lubelską na ich twórczość. Zaletą książki jest przede wszystkim zebranie bardzo bogatego materiału, nieco słabiej przedstawia się natomiast jego interpretacja. Nie obeszło się też bez pewnych pomyłek i przeoczeń. Książka ta jednak zasługuje na bardzo życzliwe przyjęcie, jako pionierska.

KRYSTYNA JABŁOŃSKA — Płomień na wietrze. Lublin 1964. Wydawnictwo Lubelskie, s. 262, 1 nlb. Nakład 10.000 egz. Cena 16 zł.

Książka z cyklu powieści biograficznych, ukazująca znany krąg postaci wybitnych pisarzy i działaczy społecznych, związanych zwłaszcza z Nałęczowem na przełomie XIX i XX w. Na tym tle kreśli autorka piękną sylwetkę popularnej nauczycielki ludowej, Faustyny Morzyckiej, której Stefan Żeromski poświęcił wiele kart w swych utworach. Ze względu na duże wartości wychowawcze książka została przez Ministerstwo Oświaty zatwierdzona do bibliotek szkolnych.

(r)

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pieśniarowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-49. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100051 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unieka 4.

Zam. 3300. 6.X.65. H-4

MAREK ADAM JAWORSKI

Prelegent

TRZEBA bezstronnie przyznać, że Kowalski zawsze pilnie śledzi rozwój wydarzeń międzynarodowych. Słucha radia, z nabożeństwem wpatruje się w ekran telewizora, kiedy ukaże się na nim Jaszński czy Małcużyński. Poza tym prowadzi specjalne teczki, w których przechowuje co celniejsze artykuły z „Forum" i „Nowych Czasów". A „Politykę" oprawia u introligatora...

Kowalski jest prelegentem w powiecie. Często jeździ na wieś, tłumaczy chłopom, co nowego zaszło na świecie. Wszyscy bardzo go cenią i lubią.

Wezwał go raz do siebie sam przewodniczący Rady Powiatowej.

— Wy, Kowalski — mówił — dobrze znacie wieś. Trzeba pojechać do Dołków Małych z prelekcją na temat racjonalnego stosowania nawozów sztucznych.

— Zmiłujcie się, towarzyszu przewodniczący, przecież ja żyta od pszenicy nie odróżnię!

— Dacie sobie radę. Już ja wam ufam.

Pojechał Kowalski. W Klubie „Rolnika" zebrało się chłopa co niemiara. Prelegenta powitała burza oklasków.

— Obywatele — zaczął Kowalski — tematem naszego dzisiejszego spotkania jest racjonalne stosowanie nawozów sztucznych. Co to są sztuczne nawozy nie muszę mówić. Chciałem jednak podkreślić, że nasze spotkanie odbywa się w szczególnej sytuacji międzynarodowej. Zacznijmy od wydarzeń w Azji. Konflikt indyjsko - pakistański mimo rozejmu nadal mąci spokój.

Odczyt trwał półtorej godziny. Potem jeszcze godzinę ciągnęła się dyskusja. O sztucznych nawozach nawet nikt nie wspomniał. Do powiatu poszło entuzjastyczne sprawozdanie.

* * *

Poprosiła do siebie Kowalskiego przewodnicząca Powiatowego Zarządu Ligi Kobiet.

— Towarzyszu kochany — mówiła — kontynuujemy batalię o świadome macierzyństwo. Wy, towarzyszu, dobrze znacie wieś, pojedźcie z odczytem, pomóżcie zwalczać ciemnotę i zacofanie...

Przewodnicząca pięknie się uśmiechała, kto by nie uległ?

Sala w Dołkach Dużych była nabita. Kowalski grzmiał z trybuny:

— Obywatelki i obywatele! Kontynuujemy batalię o świadome macierzyństwo. Kontynuujemy tę batalię w szczególnej sytuacji międzynarodowej. Zacznijmy od wydarzeń w Azji. Konflikt indyjsko-pakistański...

Odczyt trwał półtorej godziny. Dyskusja drugie tyle. O świadomym macierzyństwie nikt nawet nie wspomniał. Do powiatu poszło entuzjastyczne sprawozdanie.

* * *

Następny odczyt miał Kowalski w Dołkach Średnich. Temat: wprowadzenie do filmu „Popioły".

— Obywatele — mówił — oglądamy dzisiaj film „Popioły". Oglądamy ten film w szczególnej sytuacji międzynarodowej. Zacznijmy od wydarzeń w Azji...

Odczyt trwał półtorej godziny. Dyskusja drugie tyle. Kiedy wszyscy rozchodzili się do domu, jakieś dziecko płakało i przez łzy mówiło do ojca:

— Przecież miał być film...

Kto by tam dziecka słuchał!

* * *

Ostatnio Kowalski pojechał z delegacją do ministra starać się o dodatkowe kredyty dla miasteczka.

— Obywatelu ministrze — oświadczył — dla naszego miasteczka potrzebne są dodatkowe kredyty. Kredyty te chcemy uzyskać w szczególnej sytuacji międzynarodowej. Zacznijmy od wydarzeń w Azji. Konflikt indyjsko - pakistański...

Podczas wystąpienia Kowalskiego minister mdlał trzykrotnie. Gdy go po raz trzeci cucono, Kowalski jeszcze przemawiał...

Delegacja otrzymała kredyty. Dwukrotnie większe niż prosiła...

NOTY

„KONTRASTY" — drugi numer białostockiej jednodniówki społeczno-kulturalnej prezentuje się dużo ciekawiej niż pierwszy. M. in. jest to zasługa J. W. Brzozy, troskliwie dbającego o szatę graficzną. Z ciekawszych pozycji warto odnotować opowiadania A. Omiljanowicza pt.: „Z'bodnia Ryszarda Zawały", „Rozważania na rozdrożu" Ryszarda Krafki, wiersze Tadeusza Sokoła i Wiesława Kazaneckiego. Najsłabsza ostatnia strona. Trochę nas jednak dziwi, że wydawca „Kontrastów", który regularnie otrzymuje „Kameny", nie przysłał nam egzemplarza okazowego...

NATOMIAST otrzymaliśmy (dziękujemy!) nowy numer jednodniówki „Ziemia Chełmska" (Wydawca: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej). Z zainteresowaniem odnotowujemy informację zawartą w artykule L. J. Okonia o tym, że Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej nawiązało współpracę ze Stowarzyszeniem Miłośników Ziemi Ciechanowskiej. Efekty takiej współpracy mogą być korzystne dla obu stron. Wydaje nam się jednak, że „Ziemia Chełmska" powinna przeprowadzać większą selekcję zamieszczanych materiałów. Razi też niekiedy pretensjonalny ton niektórych artykułów i nadużywanie słów „twórcy chełmscy" Jednodniówka ukazuje się raz—dwa razy w ciągu roku, można ją „wypieścić".

SPROSTOWANIE ROKU. Tak nazwaliśmy to, które ukazało się na łamach „Pomorza". Cytujemy: „W numerze poprzednim podaliśmy mylnie nazwiska członków Kolegium Redakcyjnego: Alfreda Kowalkowskiego, Leona Kowalskiego i Wiesława Rogowskiego zamiast Bronisława Kaplana, Tadeusza Kuty i Franciszka Szacha. Przepraszamy". A swoją drogą strasznie nas ciekawi, jak doszło do tej niecodziennej pomyłki?

PREMIERA „Popiołów" w Lublinie miała mieć uroczystą oprawę. Zapowiadano przyjazd Wajdy i odtwórców głównych ról. „Z przyczyn zawodowych" Wajda odwołał swój przyjazd. Ale — pocieszała nas prasa — przyjedzie pierwszy operator filmu, Lipman, oraz aktorzy: Kierc, Wysocki i aktorka — Saretok. Ostatecznie do Lublina dojechał tylko Bogusław Kierc, który m. in. tak zabawiał publiczność (cytuję własnymi słowami, ale wiernie oddającymi treści): „Proszę państwa. Kiedy kręciliśmy „Popioły" musieliśmy się uczyć jeździć konno. Potem pewna część ciała wyglądała u mnie jak czarna borówka". Stanowczo wolimy p. Kierca na srebrnym ekranie niż przed nim.

MAJ

Odpowiedzi Redakcji

Z. R. w Lublinie. Pisze pan: „Kameny" przy końcu roku zwiększyły format, będą miał trudności z oprawieniem rocznika..." W redakcji będziemy mieć ten sam kłopot, ale — mimo wszystko — jest to dla nas kłopot przyjemny. Cieszymy się, że nasze pismo podoba się Panu coraz bardziej. Słusznie zwraca Pan jednak uwagę, że niektórzy kioskarze „Ruchu" nie eksponują „Kameny" („naszego pisma") albo przykrywają ją różnymi „szmatami". Z drugiej strony mamy jednak przykłady inne, kiedy kioskarze (np. na rogu Alei Racławickich i Godebskiego czy też w KW PZPR) zjednują nam nowych czytelników. Dziękujemy!

„Alina" w Lublinie. Przede wszystkim — ile ma Pani lat? To ważne przy ocenie wierszy. Niektóre utwory — miłe. Może damy debiut, ale na razie nie znamy nawet Pani nazwiska.

J. D. w Gorzowie. Jeden z wierszy wydrukujemy. Prosimy o podanie dokładnego adresu.

A. P. Zamieścimy „Debreczen". Również prosimy o podanie adresu.

Kes w Chełmie. Zatrzymujemy „Spowiedź poety".

T. Z. w Otwocku. Prosi Pan o ocenę dwóch wierszy. Oto jeden z nich pt.: „Jesień": „Gałęzie drutów Z Pąkami Wody kropel Z melodią ptaków" „Odlot". Co tu oceniać?

B. W. w Gdyni i Z. P. w Łomży. Pisali Panowie niezłe fraszki. Po ostatnich przesyłkach używamy czasu przeszłego.

„Anna". Znajdujemy interesujące fragmenty w Pani utworach. Prosimy się ujawnić. Czy Pani już gdzieś drukowała?

A. S. w Radomiu. Artykuł zamieścimy, wierszy nie. Najbardziej interesują nas jednak Pana zdjęcia. Prosimy o duży wybór tematyczny. Sukcesywnie możemy nimi ilustrować odpowiednie materiały.

E. Z. we Wrocławiu. Może ma Pan więcej przekładów ze współczesnej poezji chorwackiej? To nas bardziej interesuje niż Pana twórczość oryginalna, w której, niestety, wiele zużytych słów („Zatopiwszy swe usta w słoneczny pożar pocałunków i dusze spoiwszy w kosmicznym mrowiu gwiazd..."").

T. S. w Lublinie. Pisze Pan w liście do redakcji: „Zwracam się z prośbą do Waszego pisma o zamieszczenie w nim mojego wiersza, o ile okaże się, że wiersz ten nadaje się do druku. Grono najbliższych twierdzi, że tak". Niestety, trudno nam się zgodzić z „gronem najbliższych". Aby czytelnicy mogli porównać oba sądy, cytujemy fragment Pana „Erotyku": „...usta czerwone jak rubin i słodkie jak czekolada jak wino upajające. Dajesz chwile niezapomnianych przeżyć w żyły do krwi wlewasz uczuć amfory i amor przeszywa nas grotem przemocy".

E. Z. w Zgierzu. Obawiamy się, że Pana zbiorek ukaże się szybciej i nie zdążymy nic wydrukować. Prosimy o wybór najnowszych wierszy.

W. B. w Bydgoszczy. Zatrzymujemy wiersz „Dla Z."

St. S. w Legnicy i M. B. w Grodkowie Śl. Nie skorzystamy.

J. K. w Warszawie. Niektóre fragmenty niezłe, ale w wierszach Pana za dużo prozaizmów. Pracować jednak warto, niech Pan tylko rozszerzy wachlarz tematyczny.

R. T. w Olsztynie. Ma Pan rację: to jeszcze próby poetyckie, ale... do odważnych świat należy, zwłaszcza gdy odwadze towarzyszy odrobina talentu. A talent u Pana bezsprzecznie jest.

1939 ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY 1939

Dziś zamiast „Książek ze strychu" przedstawiamy czytelnikom „Kameny" niektóre zdjęcia z „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" (styczeń — sierpień 1939 rok). Ich wymowa jest jednoznaczna, toteż wszelkie komentarze uważamy za zbyteczne.

ŚWIĘTO POLICJI NIEMIECKIEJ w Berlinie było obchodzone bardzo uroczyście. Oto defilada oddziałów policyjnych.

MARLENA DIETRICH zrzekła się obywatelstwa niemieckiego, przyjmując obywatelstwo amerykańskie. — Artystka wkrótce wyjeżdża do Europy — nie ma jednak zamiaru udać się do Niemiec.

PREMJER CHAMBERLAIN JEST MIŁOŚNIKIEM PSÓW. Toteż codzienną swą przechadzkę odbywa w towarzystwie ulubionego terriera.

DLA DZIECI BEZROBOTNYCH NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE. Pod tem hasłem w okresie przedświątecznym odbyła się w Krakowie zbiórka uliczna, która dała piękne rezultaty. Na czele kwestarzy stanął p. wojewoda krakowski dr Tymiński, którego widzimy na ilustracji z puszką w ręku.

KRÓL BUŁGARSKI BORYS WŚRÓD WŁOŚCIAN. Władca Bułgarji odbywa często podróże wizytacyjne po swoim kraju, przekonując się naocznie o troskach i radościach włościan. Taką scenę powitania króla Borysa przez włościan przedstawia nasza ilustracja.

ESKADRA NAJNOWSZYCH ANGIELSKICH BOMBOWCÓW, rozwijających szybkość około 500 km na godzinę.

PODCZAS POBYTU Marsz. Śmigłego-Rydza w Lublinie młodzież szkół lubelskich wręczyła Mu w darze karabiny maszynowe dla armji.

W UPAŁNEM SŁOŃCU ZALESZCZYK, nad orzeźwiającemi nurtami Dniestru — miło płyną wakacyjne chwile.

(Z numeru z 24 lipca 1939)

Wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

ROK I | Październik 1965 | Nr 2

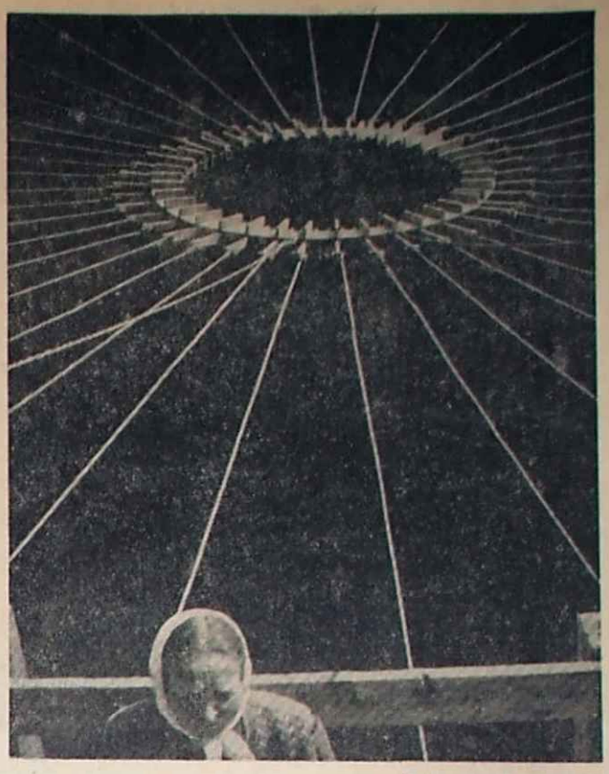

Fot. Andrzej Polakowski

Sylwetki naszych twórców

Walenty Kunysz

Kraczkowa pod Łańcutem jest wsią rozległą, posiada żywą tradycję ruchu ludowego. Jeszcze przed pierwszą wojną światową zorganizowała własną orkiestrę i zespół teatralny, w okresie międzywojennym wystawiono tam wesele chłopskie w układzie jednego z najaktywniejszych artystów ludowych, Walentego Kunysza.

Walenty Kunysz urodził się 18.X.1898 roku we wsi Kraczkowa, pow. Łańcut, woj. rzeszowskie, gdzie prowadzi gospodarstwo rolne do dzisiaj. Ukończył cztery klasy szkoły ludowej. Zaczął pisać już w latach szkolnych, jednak pierwszy wiersz wydrukował dopiero w 1960 r. na łamach „Orki". Kunysz jest nie tylko poetą, piszącym dużo wierszy okolicznościowych i bodaj najwięcej fraszek. Interesuje go wszystko, co dotyczy jego regionu. Pisze i zbiera pieśni, legendy, przysłowia, zagadki, obrzędy. M. in. zgromadził 3000 przysłów. W 1957 roku opublikował w „Literaturze Ludowej" zbiór składający się z 202 przysłów. Pracuje też na niwie kulturalnej. Był współorganizatorem założonego w roku 1954 Zespołu Pieśni, Tańca i Wesela, który w eliminacjach wojewódzkich w Rzeszowie zdobył I miejsce. Ostatnio poetą przygotował obszerny opis wesela w Kraczkowej. W znajdującym się obecnie w produkcji w Wydawnictwie Lubelskim tomie „Wieś Tworząca 1965" znalazły się także jego wiersze i fraszki.

Kunysz. Człowiek o wielkiej pasji poznawczej i szerokich zainteresowaniach. Cieszy go przyroda, interesują nowe wynalazki i stare obrzędy. Chłop, który mówi gwarą, a pisze fonetycznie, jest z zamiłowania etnografem, z zawodu i wychowania rolnikiem, z tradycji środowiska działaczem społecznym, ale z wewnętrznej potrzeby pisarzem.

Wartość jego prac i zbiorów etnograficznych została już oceniona, wydrukowano zebrane przezeń przysłowia, wykorzystano zgromadzony materiał. Najbardziej jednak interesujące jest jego pisarstwo. Barwne, ciekawe, dowcipne, często przejmujące. Jest to pisarstwo bardzo świadome swej funkcji. Kunysz chce być twórcą ludowym.

Znał ludowego poetę Magrysia, słyszał o zmarłym niedawno w sąsiednim Husowie, Janie Raku, zwiedzał muzea, czytał pisma ludowe. To były czynniki, które zdopingowały go do podjęcia pracy zbieraczkiej i pisarskiej. Zginęła w czasie wojny powieść „Z życia praojców", ukryty w stodole tysiączwrotkowy poemat „Niewola" zjadły myszy. Zachowały się powiedzonka, fraszki, napisał też wiele nowych. Nie próbował form większych. Wyjątkiem jest świetny pamiętnik (napisany w r. 1948) i kilka nieco dłuższych opowieści, np. „Tragedia (historia prawdziwa)" — wierszowany poemat o pannie młodej, która nie chcąc wyjść za niekochanego utopiła się w stawie.

Fraszki przypominają formą Kochanowskiego, Krasickiego, czasem poezję rybałtowską. Być może zależność ta nie jest świadoma. Kunysz czyta dużo i ceni książki, ale raczej nie można mówić o jego bezpośrednim kontakcie z piśmiennictwem średniowiecza i oświecenia. Formy pochodzące z literatury dawnej mogły przeniknąć do jego świadomości przypadkowo, przez pieśni kościelne, stare pieśni ludowe i dziadowskie. Przecież pieśni zbierał. Może to być naśladowanie mimowolne, zwłaszcza, że zależność ta jest trudno uchwytna, nie odnajduje się bezpośrednich wzorców dla poszczególnych wierszy. Natomiast wpływy na twórczość Kunysza widoczne są ze strony pisemek i kalendarzy ludowych, a przede wszystkim — wielkiej poezji romantycznej. Kapitalnym w tej grupie przykładem jest bardzo długi pastisz Słowackiego z nieoczekiwanym zakończeniem:

„Smutno mi Boże, sam nie wiem,
dlaczego,
Chciałbym się cieszyć, ale nie mam
z czego,
Inni się cieszą, jakże to być może,
Ja się nie cieszę, bo mi smutno,
Boże.
...Gdy mi uderzą raz ostatni
dzwony,
Wieść o mej śmierci pójdzie
w świata strony.
W ciemnej mogile swoje kości złożę,
Tam też to będzie wesoło,
mój Boże".

Wierszy wyraźnie własnych, w których zarówno forma, jak i treść są niezależne od wpływów zewnętrznych, jest spora grupa. Ciekawe, że one są najbardziej udane. Co właśnie wydaje się największą war-

(Dokończenie na str. 2)

Władysław Kuchta

WŁADYSŁAW Kuchta urodził się 7.X.1911 roku w Mołodutynie, pow. Chełm, w województwie lubelskim. Wiosce swej pozostał wierny do dzisiaj. Dzieciństwo Kuchty było bardzo ciężkie. W kilkanaście dni po urodzeniu traci ojca; ojczymem również nie cieszył się długo, ponieważ wybuchła wojna. Po powrocie z frontu w roku 1918 ojczym musiał leczyć nadszarpnięte zdrowie i odbudowywać zniszczone gospodarstwo. Nic też dziwnego, że Wł. Kuchta od najmłodszych lat pracował na roli i ukończył tylko cztery oddziały szkoły podstawowej.

W późniejszych latach Kuchta pracował w Kole Młodzieży Wiejskiej „Siew", ochotniczej straży pożarnej, kółku rolniczym, w różnych sekcjach i zespołach artystycznych, rozwijając bogatą działalność społeczną i kulturalno-oświatową. Dużo czytał a nawet prenumerował i tu chyba należy przede wszystkim szukać genezy jego twórczości. Wiersze zaczął tworzyć w roku 1928. Szybko też nadszedł czas debiutu, o czym tak wspomina poeta:

„Płynęły ze mnie wiersze proste, chłopskie, nieuczone. Pęczniały zeszyty, a serce biło serdecznym rytmem tworzenia... Świat w mych oczach promieniał, rósł i karmił mnie swym pięknem. Za namową kolegi posyłam jeden wiersz pt. „Już jesień" do tygodnika „Siew". Za parę dni otrzymuję tygodnik i — o dziwo — wiersz został wydrukowany. Było to w 1929 r. jesienią".

Od tego czasu coraz częściej na łamach różnych gazet ukazywały się wiersze Kuchty i korespondencje podpisywane nazwiskiem autora, bądź też „Władek z Mołodutyna". W roku 1935 Kuchta ożenił się i założył własne gospodarstwo. W czasie okupacji brał czynny udział w ruchu oporu i pisał. Do dnia dzisiejszego zapisał czterdzieści zeszytów poezją, przygotował też monografię swojej wsi, ze-

brał zwyczaje i obrzędy ludowe swego regionu itd. Jest także autorem pamiętnika pt. „Codzienny trud". Interesuje go wszystko, co dotyczy regionu, zbiera więc zagadki i legendy, przysłowia i piosenki. Jest korespondentem kilku gazet, współpracuje z Głównym Urzędem Statystycznym, Instytutem Meteorologii, Telewizją itp. Dużo czasu poświęca badaniom szkodników i chorób roślin przemysłowych.

Jeśli chodzi o twórczość literacką — znalazła ona uznanie na wojewódzkim konkursie poezji ludowej w Lublinie w roku 1959, efektem czego było przyznanie Kuchcie II nagrody. Czternaście wierszy zostało włączonych do wydanej w roku 1963 antologii „Wieś Tworząca". Rok 1963 przyniósł samodzielny tomik pt. „Bławatki". Niezależnie od tego wiersze Kuchty były publikowane na łamach około trzydziestu pism.

Trudno w kilku słowach ocenić ten bogaty dorobek poety, wydaje się jednak, że recenzent „Dziennika Ludowego" (27.XII.1963) utrafił w sedno, pisząc m.in., że o poczytności wierszy Kuchty decyduje:

„... prostota uczuć, ich prawdziwość, ich faktyczne, realne istnienie. Miłość do ziemi, lasu, łąki, do garbatej chałupiny, własnej zagrody, do nieba, słońca, wiatru, do przeszłości i teraźniejszości, do Ojczyzny.

Władysław Kuchta — to piewca tej miłości szczególny. Nie tylko w jego wierszach, ale i w jego życiu nie ma nic z pozy. Nie kryguje się, nie zgrywa. Kocha pracę, kocha książki. Czas dzieli między pług i brona, którymi użyźnia ziemie oraz działalność społeczna, która pragnie użyźnić chłopskie, wiejskie bytowanie".

Kuchcie nie wystarcza już Konopnicka, czy Lenartowicz, wzorów pragnie szukać i szuka w poezji współczesnej, dlatego też w jego dorobku, obok utworów pisanych regularnym wierszem, spotkamy i pozycje zupełnie nowoczesne. Poeta docenia znaczenie literatury, zawarł z nią — jak pisze — „dozgonną przyjaźń". Ma tylko jedno życzenie, które dzisiaj w dzień jubileuszu 35-lecia jego działalności literackiej warto przypomnieć:

„Chciałbym, aby chłopski wiersz zakwitł bławatkiem wśród lata, by się rozdzwonił — świerszczykową kantatą".

Roman Rosiak

SEWERYN SKULSKI

Jesienne liście

Listopad — lecą liście z drzew,
Jak dziwnie patrzę na to,
Jakże mi smutnym jest ten śpiew
— Minęło moje lato.

I leżą liście obok dróg
I płyną liście wodą.
Ach, gdybym cię dogonić mógł...
— Gdzie jesteś moja młodość?

Tak mi śpiew liści dziwnie brzmi,
Co płyną wodą spławną,
Czy się odezwiesz jeszcze mi
Piosenko moja dawna?

Szeplenią mi liście u wód
Przerzewną jakąś nutę,
— Piosenka, młodość, maj i miód,
A potem — smutek, smutek.

Tyle słodyczy, tyle pień,
Co młodość nam wzbogaca,
Życie przemija jak ten dzień
I nigdy nie powraca.

Jesienne liście. — Nuć mi, nuć,
Ja świadom i w tej porze,
Co się rozwija musi schnąć,
Inaczej być nie może.

Karnkowo, pow. Lipno, woj. bydgoskie

STANISŁAW NEUMERT

I d ę

Otulony w szal życia przez zamieci
idę. Nad przepaściami przygięte
gałęzie ciszy, jak ręce ojca nad smutkiem.
Matki nauczone płaczu
Na półmiskach niedziel
myśli chłopów o plonach i liście
na spadochronie słońca złotą jesienią.

Gulcz, pow. Czarnków
woj. poznańskie

STANISŁAW GĄSIENICA BYRCYN

Myśli juhasa

Nie tyn człowiek w życiu chromy
Co weń bijom losy, gromy,
Mnie się widzi tyn kulawi,
Co nad syćkich swe „Ja" sławi.

Zakopane

JÓZEF MAŁEK

Kobieta wiejska

Sięgając słońce
rozpala ogień
karmi rodzinę i trzodę
żując kęs ostatni
biegnie na pole
torem dwóch znojnych przystanków
obiadu i kolacji
zmęczona upada w noc
daje miłość mężowi
okruchy kobiecości
świadoma jutra
dni utraconej urody.

Boży Dar, pow. Bychawa

MELANIA BURZYŃSKA

Ziemia-matka

Serce z kamiennego węgla
tętniące uderzeniami kilofów
pompuje krew
w tętnicę fabryk
i zakładów przemysłowych
która z nich spłynie
szumem traktorów i maszyn
w żyły
czarnych skib roli
aby w jej piersi
zamienić się w mleko
urodzaju.

Jaświły, pow. Mońki
woj. białostockie

ZYGMUNT KUPISZ

Jesienne kwiaty

Okres wrócił już jesienny,
Letni zamarł kwiat.
Dzień jest krótki, mglisty, senny,
Rzekłbyś — inny świat.

Słabo grzeje promień słońca,
Wiatr burzliwy dmie.
Lecą liście z drzew bez końca,
Deszcz kroplami tnie.

Chryzantemy jeszcze tylko
Kwitną w chłodny czas.
Na mogiłach piękną chwilką
Urzekają nas.

Łany, pow. Puławy

WŁADYSŁAW KUCHTA

Kto kocha piękno

(Fragmenty)

Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu

Kto kocha piękno
w życiu —
sadzi róże w ogródku,
sadzi bzy białe,
bzy niebieskie —
czeremchę, kalinę,
białe brzózki
przy drodze —
smukłe topole.

Kto kocha piękno
ten ręką odgarnie
nić pajęczą,
by nie popsuć
srebrnej przędzy,
ten kroplę wody poda
spragnionej stokrotce
w upalny dzień lata.

Kto kocha piękno —
ten serce otwiera
na każdą skargę,
jest czuły wielce
i podaje przyjaźnie
dłoń człowiekowi
i wesprze słowem
sercem za serce.

Narodziny wiersza

Wiersz ten się rodził
na polu, przy orce,
kolebką mu była
głęboka bruzda ziemi.

Świerszcz go witał
jakąś nutką poloneza,
słońca promień złoty
gładził strofkę wiernie.

Wiersz ten położyłem
na wyoranej skibie,
aby wsiąkł posoką
w czarne ciało gleby.

ANTONI PIEPER

Moja chata rodzinna

Chata samotna stoi wzdłuż drogi
Przez bór wiodącej
nad brzegi morza;
Stara już ona, niskie ma progi,
W okno zagląda poranna zorza

Bór zaś sosnowy z północnej strony
Od wichrów groźnych
ją stąd osłania.
Obok piaszczyste, puste zagony;
Po nich za żerem sroka ugania.

Bór się dziś sennie nieco kołysze,
Jakby spał jeszcze i we śnie marzył.
Lub szeptał jakieś pacierze mniszę,
W lekkim poszumie
swych liści gwarzył.

A dalej, zaraz za borem, morze
Już przebudzone wstaje, oddycha
Wolno, leniwie.
Tu wszystko słychać,
A dusza odczuć, zrozumieć może.

Rybak się krząta żywo przed chatą.
Bierze pływaki, liny i sieci
I wraz z słoneczną,
dzienną poświatą
Rusza do morza, zostawia „chęczy".

Żona wybiega, staje na progu
I na rybaka czule spoziera,
Znakiem go krzyża poleca Bogu,
Cicho, ukradkiem oczy wyciera...

Z tej tu samotnej i niskiej strzechy
Wyszedłem na świat, ja, syn rybaka,
Wiele doznałem tutaj pociechy
I tu mi skrzydła urosły ptaka.

Jastarnia

Fot. Andrzej Polakowski

WŁADYSŁAW FLIS-JUTRZNIA

Skarby

Zakopał skąpiec swoje skarby —
Wyrosły lasy szubienic.
Zakopał kochanek swoje ślady
Do niewiernej niewiasty —
Wyrosły stada kruków.
Zakopała dziewczyna
swoją miłość —
Wyrosła piękna róża.

Raciborki, pow. Szczecinek
woj. koszalińskie

WALENTY KUNYSZ

Zdradliwe pochlebstwa

Najzdradliwsze są zawsze pochlebiania w oczy.
To, co w oczy pochlebia, poza oczy psioczy.

Bardziej dokuczą szykany

Bardziej dokuczą zdrajcy publiczne szykany,
Niż sądowe wyroki, kryminał, kajdany.

Mieć silną wolę i rozum

Ten może składać wiersze i pisać dzieł księgi,
Który ma silną wolę, myśl i rozum tęgi.

Drogi do szczęścia

Wiedz! Do szczęścia na świecie wiodą cztery drogi:
Praca, nauka, cnota, w domu spokój błogi.

Święta prawda

Życie jest diabła warte
A wieczność — kaduka.
Lecz umierać nikt nie chce,
Chory lekarstw szuka.

Człowiek i małpa

Spytał się człowiek małpy,
Czy od niej pochodzi.
Małpa rzekła: ród małpi
Z człeka się wywodzi.

Kraczkowa, pow. Łańcut

Dorobek i plany

9 października odbyło się posiedzenie Zarządu Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych, w którym wzięli udział przedstawiciele Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie, „Chłopskiej Drogi", WDK i TWP. Na spotkaniu podsumowano dorobek Klubu w ostatnim okresie oraz przedyskutowano szereg spraw organizacyjnych i — co zasługuje na szczególną uwagę — podjęto wiele konkretnych decyzji dotyczących planu pracy na rok 1966 i włączenia się do obchodów Tysiąclecia. Dużo miejsca poświęcono też sprawom wydawniczym.

Jeśli chodzi o ciekawsze imprezy i inicjatywy Klubu we wrześniu br. — należy wymienić spotkania z NK ZSL i redakcją „Chłopskiej Drogi" w Warszawie, poświęcone współpracy oraz dwa wieczory autorskie: w Garbowie (Br. Pietrak, J. Pocek i Z. Kupisz) i w Bełżycach (P. Krzykalski).

Bardzo atrakcyjnie zapowiada się rok 1966, w którym niewątpliwie najpoważniejszą imprezą będzie II Ogólnopolski Zjazd Pisarzy Ludowych w Lublinie — i tym razem zorganizowany przez Wydział Kultury Prez. WRN. Będzie to jedna z imprez przygotowanych w ramach obchodu Tysiąclecia. Podobnie jak w roku 1965 obok spotkania pisarzy odbędzie się także „Wieczór" jednego wiersza. TWP zachęcone powodzeniem 30 spotkań z uczestnikami Zjazdu w terenie, również powtórzy je w roku przyszłym, zwiększając nawet ich liczbę do 50. Nie chce poozstać w tyle i WDK Zamek: w styczniu 1966 r. organizuje on wystawę plastyki ludowej i wieczór autorski. W związku z tym przygotowuje się specjalne wydawnictwo — katalog ilustrowany reprodukcjami najciekawszych dzieł sztuki ludowej i wybranymi wierszami. Planuje się także zorganizowanie cyklu wieczorów poświęconych literaturze ludowej poszczególnych regionów.

„Chłopska droga" rozpoczęła już publikowanie sylwetek pisarzy ludowych (dotychczas ukazały się trzy: J. Kapuścińskiego, St. Buczyńskiego i H. Nowobielskiej) i zamierza kontynuować to w roku 1966, udostępniając jednocześnie więcej miejsca poezji i informacjom o pracy Klubu. Ze spraw wydawniczych warto jeszcze wspomnieć o przekazaniu Wydawnictwu Lubelskiemu kolejnego tomiku z serii „Lubelskiej Biblioteki Ludowej" — mianowicie „Szarotek" Piotra Krzykalskiego z Nowego Sącza.

Dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego Zarząd Klubu zobowiązał się zorganizować w roku 1966 sto spotkań literackich. Niezależnie od tego jeszcze w br. odbędzie się 30 takich wieczorów.

Zarząd podjął ponadto decyzje w sprawach: przyjęcia dalszych członków, współpracy z TWP, legitymacji, znaczka Klubu, przeprowadzenia wśród członków ankiety itd. Wszystko wskazuje na to, że Klub nie będzie tworem martwym, egzystującym tylko na papierze, wprost przeciwnie, istnieją wszelkie dane ku temu, by oczekiwać od niego ożywionej i wszechstronnej działalności.

(r)

Walenty Kunysz

(Dokończenie ze str. 1)

tością tego pisarstwa, to jego zdecydowana, niepodrobiona autentyczność. Wiersze te należą do kultury ludowej, powstały w warunkach życia wiejskiego. Zamierzeniem ich twórcy nie są stylistyczne igraszki, ale zaspokojenie wewnętrznej potrzeby.

Twórczość ludowa, której Kunysz jest reprezentantem, na ogół nie odpowiada wymaganiom inteligenckiego gustu. Żeby je przyjąć, trzeba pogodzić się z brutalnie wiązanym rymem, chropowatością języka i stylu. To pisarstwo zdumiewa prostotą obrazu, odrębnością wyobraźni. Jest użytkowe, moralistyczne, ma na celu oddziaływanie społeczne. Dla inteligenta ma jedynie urok przygody, wyprawy w egzotykę, w świat odwiedzany przy okazji niedzielnej wycieczki. Dla Kunysza świat ten jest jedynym dostarczycielem wzruszeń, obrazów środków artystycznych, a przede wszystkim zadowolenia, jakie przynosi kontakt z jego urodą i zmiennością.

Barbara Tondos

Członkowie Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w Lublinie

Lista nr 1

I Województwo białostockie:

1. Melania Burzyńska — Jaświły, pow. Mońki
2. Franciszka Wierzbińska — Augustów, Sienkiewicza 24
3. Irena Suszyńska — Augustów, Szpital Powiatowy

II. Województwo bydgoskie:

4. Seweryn Skulski — Karnkowo, pow. Lipno

III. Województwo gdańskie:

5. Danuta Bieszczat — Partyka — Tuja, pow. Nowy Dwór Gdański

IV. Województwo kieleckie:

6. Michał Basa — Tarczek, pow. Starachowice
7. Maria Cedro-Biskupowa — Wilków, pow. Kielce
8. Piotr Grzegorczyk — Poniewierka, Krajne Zagórze II, pow. Kielce
9. Feliks Rak — Borowiec, pow. Włoszczowa
10. Katarzyna Zaborowska — Wilków, pow. Kielce

V. Województwo krakowskie:

11. Stanisław Gąsienica Byrcyn — Zakopane, Gubałówka
12. Piotr Krzykalski — Nowy Sącz, ul. Węgierska 68
13. Hanka Nowobielska — Białka Tatrzańska, pow. Nowy Targ
14. Adam Pach — Zakopane, Małe Żywczańskie 9
15. Wilhelm Piwowarczyk — Zakopane, Za Strugiem 12
16. Andrzej Skupień — Florek — Stołowe 29, pow Nowy Targ
17. Helena Waligóra — Białka Tatrzańska 258, pow. Nowy Targ

VI. Województwo lubelskie:

18. Józef Bassa — Nowy Folwark, pow Chełm
19. Stanisław Buczyński — Hrubieszów, ul Polna 8 m. 30
20. Paulina Hołyszowa — Strupin Duży, pow. Chełm
21. Władysław Kuchta — Mołodutyn, pow. Chełm
22. Zygmunt Kupisz — Łany, pow. Puławy
23. Józef Małek — Boży Dar, pow. Bychawa
24. Bronisław Pietrak — Gutanów, pow. Puławy
25. Jan Pocek — Kaleń pow. Puławy
26. Zuzanna Spasówka — Pożóg, pow. Puławy
27. Aniela Stańczak — Uher, pow. Chełm
28. Józef Stręciwilk — Dzwola, pow. Janów Lub.
29. Józef Świderski — Gutanów, pow Puławy
30. Ksawery Złomański — Biłgoraj, ul Kościuszki 13

VII. Województwo olsztyńskie:

31. Stanisław Komoniewski — Krzywka, pow. Iława

VIII. Województwo poznańskie:

32. Stanisław Neumert — Gulcz, pow Czarnków
33. Edmund Madaliński — Kłosowice, pow. Międzychód
34. Stefan Obuchowicz — Pecna 48, pow Śrem

IX. Województwo rzeszowskie:

35. Józef Kapuściński — Przemyśl, ul. Mickiewicza 16
36. Walenty Kunysz — Kraczkowa, pow Łańcut
37. Stanisław Harla — Zaborcze 69, pow. Mielec

X. Województwo warszawskie:

38. Stefan Chojnowski — Sobokleszcz, pow. Ciechanów
39. Bolesław Majcher — Szymony, pow Mińsk Mazowiecki

XI. Województwo zielonogórskie:

40. Teodor Sapiecha — Mazów 10, pow. Sulechów